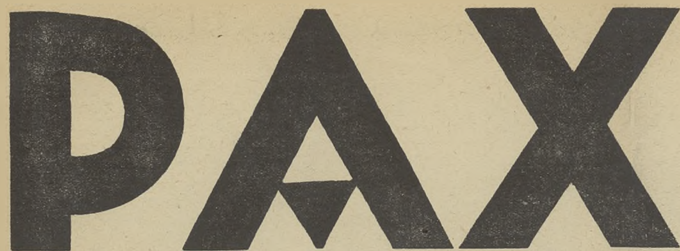
OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

CENA 30 GROSZY



O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 1–28 LUTY 1937 NR 3-4 ROK V

PODSTAWY KONSOLIDACJI

Że w naszej sytuacji geo-politycznej zjednoczenie, zdyscyplinowanie i zorganizowanie narodu jest koniecznością nieodzowną to rzecz bezsporna. Jest to warunek naszej potęgi i więcej, warunek naszego niepodległego bytu wogóle. Pomiędzy dwoma kościołami wojującymi, między dwoma narodami — armiami nie może się utrzymać naród rozbity, skłócony i zdezorganizowany.

Konsolidacja jest więc konieczna. Ale jak ją osiągnąć?

Stajemy przed kapitalnym zagadnieniem. Kompleks doprawdy w najwyższym stopniu tragiczny. Wszyscy gorąco pragną zjednoczenia i olbrzymia większość narodu jest w chwili obecnej niemal jednomyślna, a jednak konsolidacja jest nadzwyczaj trudna. Nie wiadomo jak zacząć.

Pułk. Koc wygłosił deklarację programową, wywiesił swój sztandar i wzywa: Wszyscy Polacy, którzy chcą konsolidacji niech się skupiają pod moim sztandarem. Metoda ta wywołuje liczne sprzeciwy. Jest wiele racji w tym co pisze — dajmy nato — „Goniec Warszawski". Inne obozy polityczne powiedzą: dlaczego my mamy iść do nich, dlaczego mamy się zaciągać w szeregi innej organizacji. Każdy obóz chciałby postawić zasadę: Konsolidacja ma się dokonać pod moim sztandarem.

Dlatego nie można się łudzić. Konsolidacja ta nie obejmie wszystkich najlepszych sił narodu, ani wszystkich tych, którzy zgadzają się na program przedstawiony w deklaracji pułk. Koca. Wiele obozów, które rzetelnie służą idei zjednoczenia narodowego pozostanie jednak poza nawiasem tworzącej się organizacji, nie ufając ludziom i nie godząc się na metodę. Z tym się trzeba liczyć i dlatego sprawa najważniejsza konsolidacji narodowej będzie nadal aktualna po utworzeniu się organizacji pułk. Koca.

Ale nie można rąk opuszczać i czekać, że jakoś to będzie. Ktoś musi wreszcie zacząć, wyciągnąć rękę do innych. Trzeba wyjść z błędnego koła.

Dlatego, pomimo rozmaitych zastrzeżeń, inicjatywę pułk. Koca należy ocenić pozytywnie. Nie możemy zrozumieć obozów i środowisk, które z góry odrzucają myśl porozumienia i współpracy, ustosunkowuje się a priori negatywnie. Kogo obchodzi i boli rozbicie panujące dziś w narodzie, ten nie może się ograniczyć do krótkiego, kategorycznego — nie!

Stanowisko nasze wyrazić chcemy jasno i niedwuznacznie.

Fakt inicjatywy pułk. Koca oceniamy dodatnio. Stan dotychczas panującego rozprzężenia był szkodliwy i męczący. Akcja pułk. Koca położy kres chaosowi w wielotorowości w polityce wewnętrznej państwa.

Powtóre treść deklaracji, w zasadniczych zarysach, możemy podpisać bez zastrzeżeń. Sądzimy zresztą, że może ją podpisać każdy rzetelnie po polsku myślący obywatel.

To wszystko nie wyczerpuje zagadnienia. Nasuwają się następujące uwagi.

1) Deklaracja jest słuszna, ale jak będzie z realizacją. Obawiamy się połowiczności i niedociągnięć.

Pułk. Koc powiedział, że naród polski na polach bitew krwią przypieczętował swoją przynależność do Kościoła katolickiego. — A oto istnieje organizacja „Związek Nauczycielstwa Polskiego", będąca de facto drugim Ministerstwem Oświaty, która prowadzi w Polsce walkę z Kościołem i religią, propagując liberalizm moralny i niewiarę. Co więcej uprawia jaskrawo sowietofilstwo, wychowując w zachwycie dla wszystkiego co się dzieje w Sowietach. Zarzut nasz nie jest gołosłowny. Z.N.P. wydaje gazetę „Dziennik Poranny", gdzie się walczy z religią i apoteozuje bolszewizm hiszpański. Pisemko to jest narzucone wszystkim nauczycielom ludowym. A słynna sprawa „Płomyka". Zarzut sowietofilstwa przypieczętowany wyrokiem sądowym II instancji.

Pułk. Koc odrzucił walkę klas, przeciwstawiając jej solidaryzm. A oto protegowaną i popieraną organizacją jest Z. Z. Z., grupa wyznająca marksizm, stojąca na stanowisku klasowym. Podobnie popierana przez wydziały bezpieczeństwa „Naprawa".

Pułk. Koc kategorycznie potępił komunizm. A pamiętamy zjazd „pracowników kultury" we Lwowie. Nie tak dawno to było!

Jest wiele anachronizmów w życiu polskim. Czy pułk. Koc docenia ich niebezpieczeństwo. Czy zechce i potrafi z tym się skutecznie uporać. Usunięcie tych anomalii dałoby mu wdzięczność olbrzymiej większości narodu.

2) Zapowiedziana deklaracja pułk. Koca oczekiwana była z zainteresowaniem i napięciem. Wiązano z nią wiele nadziei. Dziś natomiast słyszy się dość często głosy nieukontentowania. Przyczyna niewątpliwie jest ta, że niektóre tezy były zbyt ogólnikowe i wieloznaczne. Rozumiemy, że tezy muszą być ogólne, ale winny być dobitne i jasne. O niektórych punktach tego powiedzieć nie można. Poruszamy tę sprawę, gdyż rodzą się pewne obawy.

Smutne losy dawnego B. B. W. R. były lekcją wielce pouczającą. Co było przyczyną niepowodzenia? Niewątpliwie jego zbyt wielka rozpiętość. Obóz obejmujący wachlarz ideowy od Radziwiłła do Moraczewskiego musiał być sztucznym zlepkiem, konglomeratem. Owa rozpiętość stała się przyczyną niemocy. To był paraliż polityczny, który zabił B. B. W. R.

Deklaracja pułk. Koca jest dowodem, że obóz Legjonowy rozumie sytuację. Ale obóz ten jest związany jeszcze z czasów walk o niepodległość z rozmaitymi grupami i grupkami, które do dziś dnia tkwią duchowo w XIX wieku. Zażyłość subjektywnie zrozumiała, opromieniona wspomnieniami dawnego braterstwa broni, przekształcona dzisiaj we współżycie towarzyskie. Mamy na myśli różne grupki marksistowskie, demo-liberalne, masońskie i t. p. Z nich się rekrutuje Z. Z. Z., „Naprawa" i inne mafie.

Grupy te stanowią wielki balast, są ciężką kulą u nogi obozu Legionowego. Jest to t. zw. — „Lewica Sanacyjna". Grupki nieliczne, ale, dzięki stosunkom towarzyskim, rozporządzające znacznymi wpływami u góry i zdolne do sparaliżowania niejednej inicjatywy.

„Lewica Sanacyjna" stanowi zaporę oddzielającą nowocześnie myślących byłych Legionistów od szerokich mas społecznych usposobionych zdecydowanie narodowo.

Jeżeli pułk. Koc stawiać chce na pokolenie młode, na tych co idą, jeśli chce się porozumieć z szerokimi masami, musi zerwać nie jedną starą zażyłość. Nie jednej grupie twardo i po męsku powiedzieć trzeba — „żegnajcie!"

Nie można wszystkim dogodzić, ani nie można siadać okrakiem na barykadzie.

W młodym pokoleniu są dwa obozy — narodowy i komunistyczny. Powoli, ale ten sam podział zarysowuje się i w pokoleniu przedwojennym. Grupki dziewiętnastowieczne, stanowiące t. zw. „Lewicę Sanacyjną" nawiązują kontakty z komuną. „Folksfront" i t. zw. „Front Płomyka" to wyraźne oznaki owej przemiany. Dlatego przyszedł czas rozstania. — I oto pytanie zasadnicze. Czy pułk. Koc zdobędzie się na akt pożegnania, czy ludzi XIX wieku potrafi odrzucić na śmietnisko historii.

W chwilach przełomowych konieczne są śmiałe decyzje. Kto chce dogodzić wszystkim, nie dogodzi nikomu. Należy wybierać.

Pytamy: Czy ogólnikowe i niejasne niektóre tezy pułk. Koca nie są podyktowane chęcią podobania się na dwie strony. Czy nie dlatego uniknął pułk. Koc mocnego postawienia sprawy, aby nie zrażać kół tak zwanej „Lewicy Sanacyjnej". Chęć skokietowania grup XIX-wiecznych i próby uzgodnienia z nimi linii politycznej musiałyby napewno doprowadzić do ugrzęźnięcia całej akcji w bagienku kompromisu i indyferentyzmu.

3) Największe niebezpieczeństwo to karjerowicze. Niepopularny, cieszący się ogólną antypatią „Legion Młodych", zmieniający na każdy sezon deklarację ideową. Zgłoszenie się „Legionu Młodych" w godzinę po deklaracji wywarło fatalne wrażenie. „Legion Młodych" jest szczególnie niepopularny. Ale — nazwijmy rzecz po imieniu — bardzo wielu ludzi z dawnej Sanacji zdyskredytowało się całkowicie. Muszą przyjść ludzie nowi.

4) W młodym pokoleniu konsolidacja już się dokonała. Pomijając komunę. — 90 procent młodych jednomyślnie się zapatruje na przyszłość Polski i jednakowo rozumie drogi, którymi Ojczyzna nasza kroczyć powinna. Młode pokolenie pozytywnie ustosunkowuje się do katolicyzmu. Wierzy głęboko w indywidualne wartości kultury polskiej i chce by państwo było wyrazicielem indywidualności narodu. Pragnie dalej, silnej władzy w Polsce. Mocnej i hierarchicznej organizacji, zespalającej w jedną całość granitową wszystkie warstwy społeczne.

Jest to konsolidacja naturalna i spontaniczna. Nie ma żadnych form organizacyjnych, ale nie ma także przepaści i murów, któreby dzieliły po polsku myślące młode pokolenie. A mamy dowody, że ludzie różnych grup i rozmaitych odcieni politycznych potrafią zasiąść przy wspólnym stole i zdobyć się na wspólną akcję. Jeżeli chodzi o teren akademicki, dowody te są wielce przekonywujące. Doskonałym przykładem może być zeszłoroczna pielgrzymka studencka na Jasną Górę.

Stwierdzenie i jasne uświadomienie sobie tego stanu rzeczy ma wielkie znaczenie. Konsolidacja dokonywuje się od dołu i samorzutnie narasta.

Byłoby bardzo pomyślnie, bardzo szczęśliwie, gdyby pułk. Koc zjednoczył swą akcję z ruchem młodych. Trudności są jednak duże, bardzo duże. Narosło tyle uprzedzeń, tyle niechęci i nieufności. Oby się udało je przełamać dla dobra Polski.

WNIOSEK. — Jaknajprzychylniej odnosimy się do inicjatywy pułk. Koca i wyrażamy naszą radość. Ale niemniej cenimy fakt już istniejącej konsolidacji młodego pokolenia. To już fakt realny — rzeczywistość. Dorobku tego zmarnować nie wolno. Spontaniczna konsolidacja od dołu jest gwarancją najpewniejszą lepszego jutra Polski. Na to przede wszystkim liczymy. Stawiamy na młode pokolenie.

OD WYDAWNICTWA

Dwutygodnik nasz ukazujący się już piąty rok nie ma niestety zabezpieczonej podstawy finansowej. Wydawnictwo walczy z ciężkimi trudnościami materialnymi. Nie potrzebujemy ukrywać — sytuacja jest wyjątkowo trudna. Jak się rzekło — nie mamy żadnej pomocy, a samowystarczalności jeszcze nie zdołaliśmy osiągnąć. ■ W tej tak ciężkiej sytuacji zwracamy się o pomoc do czytelników i przyjaciół. Apelujemy: popierajcie, prenumerujcie i rozpowszechniajcie PAX. Gdyby liczba naszych prenumeratorów wzrosła dwukrotnie, PAX STAŁBY SIĘ PISMEM SAMOWYSTARCZALNYM. Ten stan rzeczy musi być naszym wspólnym celem. Cel ten nie jest tak trudny do osiągnięcia. ■ Jeśli każdy czytelnik opłaci prenumeratę i pozyska TYLKO JEDNEGO PRENUMERATORA NOWEGO, byt naszego pisma będzie ustabilizowany. ■ W Polsce mamy dziś oczywistą inflację czasopism, jest nadmiar wydawnictw. Twierdzimy jednak, że PAX jest placówką, która musi być utrzymana. ■ Nie mamy ambicji personalnych i bez żalu zeszlibyśmy z pola, gdyby periodyk nasz nie był jedyną tego rodzaju placówką. ■ Nie mamy jednak w Polsce innego periodyku o tych samych zainteresowaniach i identycznej linii ideowej. ■ Walcząc o chrześcijańską kulturę jutra, w szczególny sposób usiłujemy uwypuklić naszą doniosłą rolę na Wschodzie i chrześcijańskie posłannictwo Polski. Dla nas w Wilnie rola Polski jako przedmurza Chrześcijaństwa rysuje się szczególnie wyraźnie. Stawiamy sobie za cel wpojenie społeczeństwu przekonania o naszej chrześcijańskiej misji dziejowej i płynących stąd obowiązkach, których realizację może i powinno podjąć młode pokolenie. ■ Walki tej przegrać nie możemy. Wszystkich, którym myśl przez PAX reprezentowana nie jest obca prosimy dziś o pomoc.

FELICJAN MIRZYŃSKI

Dwie Strony Aktualnego Konfliktu

Gdy prasa polska zaczyna pisać o emigracji żydowskiej — Żydzi podnoszą okropny krzyk, robi się hałaśliwe larum na szpaltach „Naszego Przeglądu", „Chwili" i t. p. Nie wolno poruszać tej sprawy. Postulat emigracji żydowskiej z Polski — to antysemicka heca, to żydożerstwo. Wódz rewizjonizmu Sokołow i b. poseł Grünbaum usiłowali wytłumaczyć swym rodakom konieczność rzeczowego ustosunkowania się do tej kwestii. Ale zagłuszono ich, nie dano prawie przyjść do słowa.

To jest zastanawiające. Skąd to kurczowe trzymanie się zaułków Nalewek czy Kazimierza, uliczek Mejszagoły lub Radzymina. Dlaczego zasada status quo ante jest takim nienaruszalnym dogmatem, takim politycznym tabu. Przecież sytuacja materialna szerokich mas żydowskich w Polsce bynajmniej nie jest różową. Pauperyzacja mieszczaństwa żydowskiego postępuje w szybkim tempie i chyba nikt rozsądny nie może się łudzić, że jutro może przynieść pod tym względem jakieś zmiany. Żydzi znajdują się ekonomicznie w ślepym zaułku i na to nie ma rady. Ciągłe postępy etatyzmu, imanie się chłopa polskiego handlu i rzemiosła, wreszcie — jeśli można użyć takiego wyrażenia nacjonalizm gospodarczy, łączący się z ekonomicznym bojkotem — to procesy, samorzutne, których się nie da zahamować.

Dlaczegóż więc Żydzi nie chcą słyszeć o emigracji.

Przeludnienie rolne w Polsce jest faktem. Rozbudowa przemysłu, w najlepszym razie, może bardzo tylko powoli chłonąć nadmiar ludności, więc — przynajmniej przejściowo — emigracja jest dla nas koniecznością. Ale Żydzi nie chcą emigrować. Dlaczego?

Wydaje się zupełnie właściwe i zupełnie słuszne, że jeżeli ktoś musi z Polski emigrować, to właśnie powinni emigrować Żydzi. Przecież są oni elementem napływowym, elementem obcym rasowo, etnicznie i kulturalnie, wreszcie elementem, który najmniej jest związany z terenem, najsłabiej puścił korzenie w ziemię i który najkrótszą ma tradycję.

A właśnie tej zasady nie chcą uznać Żydzi i to jest kamień obrazy. Cały histeryczny krzyk przeciwko emigracji ma tylko tę przyczynę, że Żydzi nie chcą przyjąć owej zasady. Przecież odbywała się masowa emigracja do Palestyny, która do niedawna pochłoniała nawet cały naturalny przyrost ludność żydowskiej w Polsce. — Więc Żydzi jednak godzili się i godzą na emigrację. — Zgadzają się emigrować, ale nie chcą się zgodzić na zasadę, że właśnie oni powinni, że obowiązani są emigrować.

To jest istota najgłębsza obecnego konfliktu. Ma on głębsze i istotniejsze znaczenie niż się zdaje. Żydzi nie godzą się na zupełnie logiczną zasadę emigracji tylko dlatego, że zawiera ona potwierdzenie faktu prymatu narodu polskiego w Państwie Polskim. Oto właśnie chodzi. Zasada: „wy macie emigrować" oznacza zarazem: „my tu mamy większe prawa, my jesteśmy na tej ziemi gospodarzami".

Tego właśnie nie chcą znać Żydzi. Boją się tego histerycznie, nerwowo, chorobliwie. Bronią się rękami i nogami przed potwierdzeniem tej zasady. Wietrzą tu jakieś upokorzenie dla siebie. Kurczawo się trzymają dogmatu państwa ponadnarodowego, państwa opartego na zasadzie mechanicznej równości obywateli i nam go każą respektować.

Oto istota konfliktu. Młode pokolenie w całym świecie ma ogromnie rozwiniętą ambicję narodową. Młode pokolenie polskie odczuwa tezę reprezentowaną przez Żydów jako zakwestjonowanie oczywistych praw narodu polskiego i dlatego jest walka. Młodzi instynktownie wyczuli punkt najdrażliwszy i właśnie na tym odcinku chcą przełamać opór. To jest przyczyna konfliktu o miejsca w salach uniwersyteckich. Sprawa nie jest ani śmieszna, ani błaha, jak się wydaje niektórym liberałom.

Spór o ławki jest nie tyle fragmentem ile symbolem. Można powiedzieć, że sprawa ta stanowi skrót właściwej treści konfliktu. Dlatego na tym odcinku walka jest tak zawzięta. Cel o który chodzi młodzieży polskiej jest ten, by zmusić mniejszość żydowską do uznania zasady, że nie jest ona w państwie czynnikiem równorzędnym z elementem polskim. Drażliwość sprawy „ławkowej" ma dla Żydów ten sam charakter i posmak co sprawa emigracyjna. Te rzeczy się łączą. — W młodym pokoleniu marksizm nie cieszy się żadnym powodzeniem. Dla młodych doktryna ta trąci myszką, myśl młodych idzie jakże odmiennymi drogami. Naprzykład na Uniwersytecie Stefana Batorego istnieje tylko maleńka grupa maksistowska. Jej prezesem i leaderem jest Żyd. Fragment drobny, ale jakże znamienny. Apostoł marksizmu wśród młodzieży akademickiej jest Żyd. On nawraca młodzież polską na wiarę Karola Marksa.

Przytaczam ten przykład, gdyż jest on symboliczny.

Marksizm zawiera pierwiastki najzupełniej obce i przeciwne kulturze polskiej. Te rzeczy się wykluczają. Konsekwentne przyjęcie wszystkich założeń marksizmu oznacza faktycznie wynarodowienie. Konsekwentny marksista jest kosmopolitą i nie może się poczuwać do związku z idealistyczną i chrześcijańską kulturą polską. Ten kosmopolityzm dogadza Żydom, on zaciera różnice i pozwala im zatracić cechę obcości, Dlatego Żydzi „nawracają" nas na marksizm.

Gra polityczna ze strony Żydów jest zrozumiałą. Żydzi nie chcą się znaleść sam na sam ze zjednoczonym i zorganizowanym społeczeństwem polskim, użyjmy wyrażenia, z monolitem polskim. Wolą mieć partnera słabego. Wolą rozbicie w narodzie polskim. Owe arbitrażowanie, mieszanie się w sprawy wewnętrzne społeczeństwa polskiego daje im poważny atut do ręki. Atutu tego Żydzi nie chcą się wyrzec. Dlatego nie chcą słyszeć o żadnym odseparowaniu od społeczeństwa chrześcijańskiego.

Sprawa ta łączy się z tym cośmy poprzednio mówili. Sprzeciwanie się z a s a d z i e emigracji, bronienie tezy całkowitej równorzędności, niechęć do uznania odrębności. Ogniwo się zamyka. Dochodzimy do sedna sprawy. Postulatem Żydów jest nie egzystowanie obok narodu polskiego, a l e t k w i e n i e w e w n ą t r z n a r o d u p o l s k i e g o.

A właśnie tej zasady nie chce i nie może uznać młode pokolenie polskie. Dlatego mamy symboliczny spór o ławki. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie młodych i wogóle daje dowód słabej orientacji... Spór o ławki zaczęli młodzi ale, nie można sadzić głowy do piasku, konflikt ten objął już całe społeczeństwo. Istnieje w tej chwili konflikt polsko-żydowski, trzeba to nazwać po imieniu. To nic, że zaczęli studenci... W listopadzie 1830 roku zaczęli podchorążowie, ale nie można było dopuścić aby przegrali.

Popatrzmy na sprawę spokojnie, objektywnie. Przegrana całej młodzieży polskiej — bo całą młodzież, z nielicznymi wyjątkami demonstruje — czy możemy się na to zgodzić. Czy autorytet nasz i sytuacja nasza wobec Żydów nie doznałaby poważnego zachwiania. Odpowiedź jest chyba łatwa. Właściwe wnioski w sprawie osobnych ławek na Uniwersytetach wynikają stąd dość oczywiście.

* * *

Ale walkę się prowadzi, aby wygrać pokój. Walka nie może być celem sama w sobie. Jeśli kto samą walkę za cel obiera, nie jest szermierzem żadnej sprawy lecz awanturnikiem. Tylko awanturnikom zależeć może na ustawianym konflikcie i fermencie. Akcja polityczna winna mieć wyraźny cel, musi zakładać pewien stan rzeczy jako postulowany. Strona polska musi wyraźnie zdawać sprawę do czego się zmierza, co się chce osiągnąć.

Pełne rozwiązanie sprawy żydowskiej nie da się osiągnąć z dnia na dzień. Ani w tym ani w przyszłym roku Żydzi się z Polski nie wyniosą. Cel, który dziś można osiągnąć to zmiana sytuacji politycznej. Czy się to komu podoba, czy nie podoba — n i e m a j u ż p o w r o t u d o s t a t u s q u o a n t e. Stosunki polsko-żydowskie weszły siłą rzeczy w nową fazę i muszą się ułożyć na nowych zasadach.

To co można osiągnąć, to zmuszenie Żydów do uznania zasady, że nie mogą oni tkwić wewnątrz narodu polskiego i mieszać się w spory wewnętrzne społeczeństwa polskiego oraz uznanie f a k t u, że w Państwie Polskim nie są elementem równorzędnie decydującym, jak naród polski. Słowem Żydzi powinni zrezygnować z teorii Judeo-Polski. — Żydzi powiadają to — ghetto, łącząc z tym terminem sens dla siebie upakarzający i obraźliwy. Żydzi są kiepskimi politykami. Nie ma chyba narodu o słabszym zmyśle politycznym jak Żydzi. — W obecnej chwili bronią oni pozycji oczywiście straconej i co więcej czynią z tego kwestię zasadniczą, prestiżową. Jesteśmy świadkami masowej autosugestii. Żydzi wmawiają sobie, że separacja narodowościowa to coś dla nich upakarzającego, to uznanie ich za parjasów. Takie ustosunkowanie się zdradza brak ambicji narodowej i jest dowodem jaskrawej krótkowzroczności politycznej. Pocóż umyślnie dodawać goryczy do pigułki, którą przełknąć trzeba.

Jest oczywiste, że poprawne — a nawet zaryzykujemy ten wyraz — dobre stosunki polsko-żydowskie mogą się wytworzyć tylko na zasadzie wyraźnie zarysowanej odrębności kulturalnej i społecznej.

Kiedyż zrozumieją to Żydzi?

Ze sprawą Żydowską łączy się dzisiaj tyle demagogii, tyle frazeologicznego kombinatorstwa i oportanizmu, że niebezpieczne jest każde niedomówienie. Dlatego akcentujemy wyraźnie. Chcemy pokoju w stosunkach pomiędzy narodem polskim i żydowskim. — Nie obawiamy się tego powiedzieć pomimo mody na najskrajniejsze żydożerstwo (patrz pułk. Miodziński — „Gazeta Polska") Ale stosunki te winny odpowiadać naszym interesom i naszej roli w państwie. Korzystny układ poprawnych stosunków należy wygrać w walce. Więc walki nie można unikać. Nie można być poza tą walką, bo dotyczy ona naszego narodu, naszej przyszłości.

Chwila obecna, gdy w Niemczech rządzi Hitler i Żydzi nie mają żadnej opory na zewnątrz, jest najzupełniej odpowiednią do wygrania walki. Rozegranie partii dziś jest słuszne, jest dla nas dogodne, a chyba nikt nie zaprzeczy, że jest dużo do wygrania

* * *

Obecny konflikt polsko-żydowski ma również inną stronę, stronę wewnętrzno-polską.

Hasła antysemickie są bardzo popularne. Zrozumienie powagi kwestii, w połączeniu z atawistycznymi, rasowymi animozjami, oraz z momentami brutalnej walki o byt, czyni ze sprawy żydowskiej problem szczególnie gorący. To stanowi ponętną gratkę dla różnych demagogii partyjnych. Partie idą na antysemityzm, jak na lep, jest dość zrozumiała tendencja wykorzystania tej sprawy, jako partyjnego konika.

Stronnictwa Narodowe ogłosiły już dawno swego rodzaju monopol na sprawę żydowską i jedzie wytrwale tym konikiem politycznym.

Łączy się z tym wielkie niebezpieczeństwo, że sprawa ta będzie wykorzystywana dla celów demagogii partyjnej. Dlatego ze strony społeczeństwa polskiego potrzebna jest duża doza zimnej krwi i wiele krytycyzmu. Trzeba mieć stale przed oczami zasadnicze cele do których się zdąża na danym etapie, by nie wpaść w matnię bezcelowego fermentu antysemickiego, będącego — swego rodzaju mętną wodą, w której ktoś ma łowić rybki.

Zajścia w Czyżewie i w innych miastach oraz nie tak dawno podobne wypadki w Wilnie stanowią groźną przestrogę. Na tego rodzaju metody wypowiedzieć należy kategorycznie veto. Z punktu widzenia etyki katolickiej sprawa nie może ulegać żadnej dyskusji. Jest to zło bezwzględne z którym nie ma żadnych kompromisów. Społeczeństwo katolickie nie może pozostać bierne, ma ono obowiązek kategorycznego przeciwstawienia się wszelkim przejawom tego rodzaju awanturnictwa. Ale nie tylko ze stanowiska moralności chrześcijańskiej!...

To Rosja carska za czasów Stołypina aranżowała pogromy ladności żydowskiej dla odwrócenia uwagi od palących problemów wewnętrznych. Agenci „ochrany" urządzali pogromy bezbronnych żydków, bijąc i zabijając. Robiono wstydliwie, perfidnie. Wstydzono się w Petersburgu lub w Moskwie, więc na peryferiach państwa... w Kiszyniowie lub na Ukrainie.

Z jaką pogardą, z jakim obrzydzeniem mówili o tem Polacy pod zaborem rosyjskim. W Polsce pogromów nie było i nie będzie. — Ale nie wolno żadnych w tym rodzaju reminiscencji przeflancowywać do niepodległej Rzeczypospolitej. Napadanie kupą na jednego Żydka — bicie i maltretowanie — cóż to za obrzydliwość! Doprawdy — jak mogą się ważyć na to ludzie poczuwający się do jakiegokolwiek związku z polską tradycją rycerską.

Wielki Syn Ziemi Wileńskiej Marian Zdziechowski pisał książkę o wpływach rosyjskich na duszę polską. Zdziechowski wskazywał różne metody rusyfikowania ducha polskiego, trwające w dalszym ciągu w wolnej Polsce. Skłonności pogromowe przejawiające się czasem w niektórych środowiskach to doprawdy chyba objaw rusyfikacji duszy polskiej. Trzeba to jasno powiedzieć. Bicie nie wyrządza Żydom wielkiej szkody a daje doskonały argument polityczny do ręki. — Szkodę ponosi strona polska. Sprowadzenia Wilna do roli Kiszyniowa byłoby wyrządzeniem Polsce niepowetowanej szkody moralnej. Tak być nie może! Katolicka opinia publiczna i społeczeństwo katolickie jest za to odpowiedzialne.

I jeszcze jedno. Jak wiemy „blokada wileńska" skonsolidowała" młodzież akademicką. Walka obecna spełnia rolę cementującą, jednoczącą młode pokolenie. Ale tylko, gdy odpowiada wymaganiom etyki katolickiej i nie przynosi hańby naszym tradycjom rycerskim. Bicie musi spowodować zwrot i załamanie się. Społeczeństwo katolickie nigdy się z tym nie pogodzi i będzie to w konsekwencji przyczyną rozbicia. — Nie można dopuścić, by sprawa konsolidacji narodowej mogła ucierpieć z powodu wybryków zanarchizowanych grup politycznych... Tej ceny w żadnym wypadku zapłacić nie możemy.

Gdyby to nawet miało najradykalniej przyśpieszyć rozwiązanie sprawy żydowskiej, nie możemy płacić kosztem rozbicia narodowego i kosztem dewastowania kultury polskiej.

Środek zaradczy jest tylko jeden. Zdecydowane — veto — ze strony obozu katolickiego, którego siła bynajmniej nie jest tak mała, jak się wydaje krótkowzrocznym politykom z prawa i lewa. — Sprowadzenia konfliktu polsko-żydowskiego w ramy prawa i etyki osiągnąć może tylko obóz katolicki. Trzeba to zrozumieć i trzeba zechcieć.

CZESŁAW JEŚMAN

SYNOWIE ZDRADZĄ EUROPĘ

Kiedy w Warszawie wystawiono „Towariszcza" krytycy teatralni zarzucili komedii przede wszystkim nierealne założenie. Gdyby nawet ktoś z emigrantów był w posiadaniu bajońskich kapitałów koronnych to pod żadnym pozorem nie wydałby ich bolszewikom.

Francuzi są dziwną rasą. Merimee napisał bardzo dobrą książkę o Turcji wówczas kiedy tam nie był. Są to rzeczy dobrze znane. Deval, pod tym względem jest wiernym synem swojej rasy — mimo iż 70% prawdopodobieństwa przemawia za tem, iż Rosji nigdy nieoglądał i rosyjskiego języka nie zna, uchwycił rzeczywistość o wiele lepiej niż ci, którzy żyją pod wrażeniem wojny domowej w Rosji, kawalerii Bałachowicza i czasopisma „Wozrożdżenie". Emigracja rosyjska, ta jej część przynajmniej, która wyrosła na wygnaniu i mimo to nie zatraciła swojego poczucia narodowego, zmienia się niesłychanie szybko i radykalnie — wymierają uczestnicy „ledawowa pieriechoda" i wychowankowie „Prawowiedów". — Coraz mniej Rosjan może z własnego doświadczenia opowiadać o splendorze carskosielskich ceremonij i taniości zakąsek w Kostriomie.

* * *

W chwili obecnej emigrację rosyjską można podzielić na kilka wyraźnych klas. Część wsiąkła w otoczenie i następnie, obecnie dorastające jej pokolenie poza nazwiskiem, często zresztą zmienianem, i mistycznym ale nieokreślonym „głosem krwi" z Rosją nic wspólnego nie ma. Część, przede wszystkim ofice-

rowie, którzy walczyli przeciwko Bolszewizmowi, ale traktowali go jako namacalnego wroga dotychczasowego ustroju, a nie jako wrogą ideę — nie wrosła w obcy grunt, bo ostatecznie nic ich nie wiąże z nim oprócz pogardliwych porównań z tem co dotąd było w Rosji, jest ona skazana, jak się zdaje na zupełnie bezpłodne wymarcie. Dzięki brakowi właściwego otoczenia nie mają siły moralnej, nie mają również siły fizycznej i finansowej, bo w wielu wypadkach nie mogą opanować nawet języka kraju gdzie mieszkają. — Wreszcie trzecia i ostatnia warstwa — młodzież wychowana, a często urodzona na emigracji, ale mimo to poczuwająca się do narodowości rosyjskiej. Ludzi tych jest więcej niż napozór zdawać by się mogło.

W Europie spokojnej i zrównoważonej gospodarczo, prawdopodobnie udałoby się zrobić z nich pierwsze pokolenie Rosjan o kulturze europejskiej bez względu na klasę i sferę, ludzi o mniejszej może znajomości marek szampana i mniejszej doskonałości akcentu francuszczyzny, ale którym wieże św. Guduli, czy arkady rzymskich pałaców byłyby równie bliskie jak w gruncie rzeczy są one nawet najbardziej czerwonym i hałaśliwym zwolennikom III międzynarodówki, rekrutującym się z Belgii czy Włoch. Być może, że udałoby się spełnić odwieczne marzenia „zapadników" rosyjskich odrodzenia, przerobienia Rosji w blaskach łacińskiej cywilizacji.

Ale Europa przechodzi kolejną fazę ujemną rozwoju. Historja zbiorowa i załamanie psychiczne, wydają się powierzchownym obserwatorom początkiem końca tego, co nazywa się różnie, ale podpada pod wspólny mianownik: Europa.

Emigracja rosyjska po bolszewickim przewrocie objęła nie tylko inteligencję razem z wielkiemi książętami i wyższemi sferami. Na obczyznę poszło parę setek tysięcy, jeżeli nie parę miljonów drobnych urzędniczków, żołnierzy, robotników, chłopów. Europa po bardzo krótkim okresie głośnych biadoleń zapomniała o nich, pozostawiono ich własnemu losowi i własnej przemyślności. Rosyjskich robotników wyrzucano razem z francuskimi z zakładów Renault. Rosyjscy studenci pospołu z polskimi znaleźli się wobec problemu nadprodukcji inteligencji, Rosjanie nie potomkowie subtelnych wolterjańskich dworaków Katarzyny II-giej, ale synowie drobnych wioskowych popów i „akałodocznych nadziratielej", atawistycznie pogardzający Europą, znaleźli się wobec niej, wijącej się w mękach powstawania nowej kolejnej epoki. I tu Deval'a nie zawiodła francuska intuicja.

* * *

Umiejętna propaganda uczyniła z Rosji dzisiejszej coś w rodzaju powstającego raju ziemskiego. Eksperyment mechaniczny przeprowadzony przez monomaniaków i sprytnych aferzystów w kraju o kolosalnych możliwościach naturalnych, absolutnej ignorancji i nieobecności jakichkolwiek tradycyj przedstawiono jako najwyższy wykwit ducha ludzkiego. Jako zbawienie ludzkości made in Russia. — Europę wedle tych proroctw czeka nieuchronnie taki sam los. Coś podobnego działo się na dworze Ludwika XVI kiedy Marja Antonina była „republikanką" i zachwycała się chytrym Benjaminem Franklinem w futrzanej czapce. Fakt, że jej obcięto głowę niczego nie dowodzi. Historja nie jest laboratoryjną probówką. Ale w każdym razie wielu dzisiejszych Europejczyków, w najlepszych zresztą intencjach, przypomina dobrą, nierozgarniętą królowę Francji.

* * *

Rosjanom wyrosłym na emigracji często dawano do zrozumienia ich obcość, równie często przyjmowali i przyjmują oni represje stosowane przez nowoczesne państwo wobec wszystkich swoich obywateli jako specjalną szykanę zgniłej Europy. Żal do tej Europy, która pozwoliła, zdaniem ich rozpaść się dawnej Rosji miesza się z podziwem reklamowanym i obwrzaskiwanym po najgłuchszych zakątkach normalnych postępów uprzemysławiania Z. S. S. R. Z pod ziemnej kolejki w Moskwie zrobiono epokowe zdarzenie ilustrujące chwałę Sowietów, jako dowód niższości cesarskich rządów podniesiono jednocześnie iż wówczas kolejki nie było. Zgłodniałym wychowankom politechniki w Grenoble narodowości rosyjskiej biją w oczy ciągłe hymny pochwalne odległej i nieznanej ojczyzny. Mało ich obchodzą argumenty, zupełnie logiczne i uzasadnione iż z równem powodzeniem można cytować jako przykład wyższości Woroszyłowa wobec Napoleona, brak karabinów maszynowych pod Waterloo, oni widzą kraj, który przez pewien odłam, może drobny ale bardzo wrzaskliwy i przedsiębiorczy jest uważany za nową ziemię obiecaną nowy Kanaan. Wprawdzie jej władcy wymordowali ich ojców i wypędzili ich samych ale przecież w gruncie rzeczy to jedna i ta sama — Rosja. Rząd bolszewicki umiejętnie wykorzystuje to uczucie, ostatecznie stworzono mit raju na ziemi, siebie mianowano stwórcą. Przypuszczam, iż w niczem nie obrazi to Rosjan jeżeli stwierdzi się iż wobec potęgi i siły są dziwnie uległi. Bodaj czy nie Aksaków pisał za Mikołaja I-go „Ja rab no rab caria wsielennoj". Bolszewicy transponują słowianofilstwo na komunizm a cesarza na traktor, temat pozostaje ten sam.

* * *

Kiedy porozmawia się z rosyjskiemi baletnicami obijającemi się po świecie od Valparaiso do Mandalay, z młodymi studentami rosyjskimi wszystkich uniwersytetów Europy Zachodniej na pierwszy plan nieodmiennie wysunie się narzekanie i pogarda w stosunku do każdego otoczenia. Anglicy są głupi, Francuzi skąpi i chamowaci, Włosi „makaroniarze", Niemcy wprawdzie cieszą się nieco większym respektem ale to także „kałbaśniki". Tylko negacją człowiek nie może żyć. Miraż Nowego Świata tworzonego na rosyjskiej ziemi i rękami Rosjan lśni i mieni się.

* * *

Jedną z wielu chimer w które Hitler wierzy zupełnie szczerze jest atak zjednoczonych ciemnych sił, czyli Z. S. S. R. na Europę. Wprawdzie tego rodzaju idealistyczne wojny nie udały się nawet za czasów Wojen Krzyżowych, ale być może, iż przy zmienionych warunkach politycznych może dojść do skutku starcie pomiędzy Sowietami i światem zewnętrznym. W tym wypadku można być przekonanym, że: a) emigracji rosyjskiej przeznaczy się rolę tarana anty-sowieckiego i b) emigracja zawiedzie w tej roli. Mimo całego „bogoiskatielstwa" Rosjanie nie byli i nie są narodem w którym dyscyplina metafizyczna może liczyć na wielu zwolenników, ale wszelkie dotykalne objawy, materjalistyczne półwyznania zawsze znajdą tłumy pokonanych adoratorów we wszystkich warstwach. Griszka Rasputin i Józef Stalin, to nietylko szarlatani i kombinatorzy — do pewnego stopnia są oni obaj wcieleniem i ubóstwieniem swoistych instynktów Rosji.

* * *

Deval popełnił tylko jedno głupstwo. Gdyby pieniądze koronne ofiarował bolszewikom w imię Rosji syn księcia a nie sam książę, wszystko byłoby w porządku, ale sam książę tego chybaby nie zrobił. Nie tak dawno radjo sowieckie z obrzydzeniem cytowało list księcia Dołgorukowa, gdzie poleca on chłopom swoim dawnych dóbr, żeby zachowali nietkniętą topolową aleję przed pałacem, tam bowiem będą wisieć kiedy on powróci. Można być pewnym, iż tak jak w austrjackiej armii kwiat arystokracji francuskiej nie mógł zapomnieć ścięcia Ludwika XVI tak wielu, bardzo wielu oficerów i żołnierzy „białych" armii nigdy nie zapomni wojny domowej i nigdy nie przebaczy krwawych rzezi w podziemiach Łubianki. Czas jednak działa na korzyść obecnych władców Rosji. Za dwadzieście lat ci, którzy będą jeszcze Rosjanami opowiedzą się w wypadku konfliktu w całości za Rosją bez względu na jej ustrój. Dzisiaj, jeżeli koniecznie bawić się w liczbowe proroctwa, byłaby ich chyba połowa.

* * *

A mimo wszystko taka straszna, niepowetowana szkoda dla ludzkości, że legendarny Ilia Muromiec dotąd nie przebudził się — jak potwór Frankensteina działaniem elektryczności porusza się pod narkotykiem marksizmu. Naród, który stworzył jedną z pierwszych literatur świata wielbi Stachanowa, „boga" mechanizacji i ćwierć inteligentów, których przewrót polityczny postawił na najwyższym szczeblu hierarchii urzędniczej.

MŁODA MYŚL POLITYCZNA

Otwieramy nową rubrykę, którą poświęcić chcemy nowej polskiej myśli politycznej. Młoda myśl polityczna to przede wszystkim myśl polityczna powojennego pokolenia — pokolenia idącego. Tak będzie z reguły, ale jednak nie zawsze. Chcemy ujmować to szerzej. Chodzi o nową myśl polityczną wyrastającą na gruzach bankrutujących doktryn politycznych, tkwiących korzeniami w liberalizmie XIX wieku. Jako młode uważamy te kierunki polityczne, które się ukształtowały już w niepodległym Państwie Polskim i które dostosowane są do wszelkich zmian gospodarczych, społecznych i politycznych jakie zaistniały w świecie powojennym. — W rubryce założonej mniej nas interesować będzie polityczna prasa codzienna. Chcemy raczej zwrócić uwagę na periodyki o charakterze ideologicznym, poświęcone wypracowywaniu założeń nowego programu politycznego i społecznego. Będziemy obszernie streszczali lub dosłownie cytowali ciekawsze artykuły programowe i okolicznościowe charakteryzujące daną grupę polityczną. Poza tym, chcąc zaznajomić czytelników z wytwarzającym się w Polsce nowym układem sił politycznych, będziemy podawali dane informacyjne o poszczególnych ugrupowaniach wraz z krótką charakterystyką danego ośrodka politycznego.

»MYŚL POLSKA«

Nie będziemy mówić o ludziach. Wystarczy stwierdzenie, że ludzie młodzi, nowi, nazwiska polityczne nie zgrane. Gdyby prasie polskiej postawić pytanie czym jest grupa „Myśli Polskiej" otrzymalibyśmy z pewnością odpowiedź: „młodzi Piłsudczycy". Inni możeby dodali jeszcze — „nacjonaliści". Nie będziemy wnikali o ile słuszne są te opinie. Określenia te mówią w każdym razie nie wiele.

Ideologia grupy zarysuje się jasno na podstawie podanych niżej wycinków.

W numerze wrześniowym „Myśli Polskiej" ukazał się artykuł p. Kożuchowskiego „Powrót Torquemady". Podajemy z niego obszerne cytaty.

Przyglądając się konfiguracji współczesnych obozów wyznaniowych w Europie, stwierdzamy, że Polska znajduje się pomiędzy dwiema uzbrojonemi warowniami dwu pełnych rozpędu i dynamizmu religij, z których każda, szczególnie to wschodnie wyznanie bolszewickie — płonie fanatyczną wyłącznością nowego — *cuius regio, eius religio* — i żądzą nawrócenia i przerobienia naszego globu w myśl swoich dogmatów.

Ojczyzna nasza lada chwila stać się może kolejnym obiektem najazdu marksistowskich termitów, przed którymi zbledną najgroźniejsze pochody Islamu na świat Krzyża.

W obliczu tej wojny krzyżowej drepczemy na miejscu nieuzbrojeni, niezdecydowani, a przede wszystkim w nic nie wierzący. A musielibyśmy na sierp i młot wywiesić znak swastyki lub znak krzyża.

Nie jest naszą rzeczą już teraz przesądzać o wyznaniu nacjonalizmu polskiego, chcielibyśmy jedynie wyrazić gorące pragnienie, by jeśli miał sobie obrać jakiś symbol — to raczej ten odwieczny wypróbowany znak Chrystusowy.

Chrześcijaństwo da nam bowiem siłę nie tylko dla fizycznej rozprawy z ewentualną krucjatą materializmu marksistowskiego, ale stanie się źródłem naszego pogotowia obronnego przeciwko dywersji wewnętrznej.

Walka z doktryną bolszewicką, zdogmatyzowaną w wyznanie bolszewickie, jest tem trudniejsza i nie można odkładać jej aż do chwili fizycznego starcia, iż powoduje ona epidemię duchową i rozszerza się gwałtownie i nieuchwytnie dla nieczujnego oka w duszy narodu za długo do skrzyżowania się mieczów.

Dlatego właśnie w oczekiwaniu wojny wyznaniowej, która i Polskę pochłonąć może, przygotować należy i poprowadzić akcję profilaktyczną, uodparniającą moralny organizm narodu przed bakcylami bolszewickiego morowego powietrza. Profilaktyka ta, aczkolwiek wszyscy zdajemy sobie sprawę z jej konieczności, nie jest łatwa, wymaga bowiem od nas stosowania dwu rzeczy: wyznaniowości jasnej i fanatycznej i determinacji, połączonej z odwagą i gotowością do składania najcięższych ofiar z siebie i ze swego otoczenia.

W okresach szalejących epidemii musi naród, zanim trafi w bezpośredni ich zasięg, ograniczyć ofiarnie i dobrowolnie swoje swobody i codzienne wygody, aby zapewnić sobie zwycięskie przetrwanie zarazy. Im bezwzględniej, im okrutniej stosuje reżim skrępowania i wyrzeczeń, tem odporniejszy staje się na czerwoną dżumę.

Zbrodnią i szaleństwem jest spokojne spożywanie słodkich owoców wolności i kultury w państwie, które czemprędzej stać się musi obozem warownym przed nadciągającą nawałą wojującego materializmu. Pokolenie nasze musi się zdobyć na odwagę wprowadzenia w Polsce stanu i praw wyjątkowych i obciążenia swego konta historycznego „zarzutem" reakcyjności, którym obdarzyliby nas ewentualnie uratowani przez nas i niewdzięczni potomni......

W obliczu oto takich możliwości stoimy bezradni i drepczemy w miejscu bez wiary w duszach, a najbliższe jutro jak czarna chmura przesłania niebo nad Wisłą.

Czas już najwyższy, by z naszej gorączkowej i fanatycznej mobilizacji do świętej wojny pod znakiem krzyża i w obronie krzyża został wrócony do życia i stanął pośród nas wielki i straszny Torquemada — inkwizytor.

Powrót Torquemady nie oznacza przyjścia ślepego i obłąkanego teroru w stylu Dzierżyńskiego czy prowodyrów komunistycznych z Barcelony — będzie to nieustanne profilaktyczne tropienie ośrodków chorobotwórczych i stosowanie natychmiastowej operacji chirurgicznej tam, gdzie dotąd działała nieprzekonywująca perswazja i zawodne klajstrowanie.

Duch wielkiego inkwizytora zjawiać się musi i zjawia się zwykle w chwilach wielkiego przełomu i tylko ta strona, która potrafi go ucieleśnić — wychodzi z zapasów i próby zwycięsko.

Nie bójmy się, by Torquemada, póki jeszcze czas wypalił te wrzody, które grożą zadżumieniem całego ciała: lepiej będzie, jeśli zginie 3.000 łotrów, zaprzedańców i ślepych głupców, niżby w krwawym potopie miało się pławić kilkadziesiąt miljonów całego narodu.

Pozwólmy, by profilaktyka nasza stała się oczyszczeniem przez ofiarę i cierpienie; pozwólmy Inkwizytorowi zadawać słuszne cierpienia winnym i chorym, pozwólmy, by nie miał litości dla tych, którzy jej nie chcą i na nią nie zasługują.

Powrót Torquemady będzie ciężką ofiarą i ciężką próbą naszego pokolenia: zduśmy wszelką słabość i wszelkie wahanie w zarodku, aby w wielkim turze rozpoczynających się wojen religijnych nie staliśmy się cielcem ofiarnym, któremu połamią kości i wyprują żyły gwoli chwały obcego boga.

Jeśli nie mamy przegrać — Torquemada bezlitosny i straszny, ale sprawiedliwy i wielki musi nadejść.

Głos ten mówi bardzo dużo. Był on żywo komentowany przez całą prasę polską a szczególnie rozkrzyczały się organy naszej kiereńszczyzny. Uderza jasna orientacja i śmiałe, konsekwentne wnioski.

Teza, że warunkiem mocy duchowej narodu polskiego jest jaknajsilniejsze powiązanie naszej kultury z chrześcijaństwem była rozwijana w wielu numerach następnych. W rocznicę Ks. Skargi ukazał się artykuł Grąbczewskiego zatytułowany „Sprawa katolicyzmu w Polsce".

Podajemy obszerne wyjątki:

Wszyscy naogół zgadzają się z tym obrazem katolicyzmu w Polsce Odrodzonej, jak wszyscy, nawet wojujący antykatolicy, ze zdumiewającym entuzjazmem i zdziwieniem opowiadają o jednostkach, wyznających, czynny, dynamiczny katolicyzm, jak o tym biskupie, co to trzecią klasą podróżuje i sam walizkę nosi, jak o ks. Blizińskim, o gimnazjum O. O. Marianów, o Chyrowie, o albertyńskich domach noclegowych, o O. Beyzymie. Lecz jeśli wszyscy zgadzają się z tym obrazem katolicyzmu polskiego, to dodać musimy, nie wszyscy świadomi są konsekwencji tego stanu rzeczy, prowadzącego prostą drogą do zapanowania idej kontr-katolickich w rzeczywistej rzeczywistości polskiej (wobec bankructwa laicystycznych i demo-liberalnych ideologii XIX w.), do zapanowania bolszewizmu i hitleryzmu w duszach polskich, jako ruchów pełnych rozpędu, ofensywnych, pełnych ... akcji. Nie wszyscy wiedzą, że katolicyzm bierny, pokorny, słowiańsko-buddaistyczny, wyrzekający się tych czy innych form rewolucyjnego przetwarzania rzeczywistości na modłę coraz wyższego ładu i sprawiedliwości, to najlepsza zapowiedź hiszpanizacji Polski, że tak jak wynaturzony kapitalizm sprowadza rewolucję socjalistyczną lub komunistyczną, jak rejowskie obrazy odpustów, z jajkami na ołtarzu,

POLSKA WYBUCHŁA W ROKU 1937

Panu Stefanowi Kołaczkowskiemu za stutysięczną podziękę za „Bilans estetyzmu" (Marchołt, styczeń, 1937).

Miałem o tym pisać artykuł,
lecz wolę wiersza dźwięczną miedź —
nie potom wierszom formę wykuł,
artykułami żeby grzmieć:

W tym roku Polska się zaczyna
jasna i piękna jak dziewczyna,
wznosimy dla niej jasny dom!

Szczury do Wisły! Z Wisły wiarę!
Ja strofy te jak „Carmen saeculare"
składam Warszawy nowym dniom.

Oto się kłamstwu kładzie tama,
na szczurowisku pięści błysk —
bowiem kto Polskę chciał okłamać,
teraz od Polski dostanie w pysk.

I nie pomogą „Wiadomości",
ni mydło, proszę jegomości,
ni papa Stalin, pupa Kridl.

Gdy wschodzi słońce, giną krety.
Tylko rycerzom laur poety;
ty bubkom, panie, oczy mydl...

Nie trzeba płakać mój maleńki,
że dogorywasz tak pocichu:
teraz lepsze płyną piosenki
z piór Sołtysików i Giertychów;

kończy się „lepka, gęsta proza",
kończy się poza, breza, groza,
kumkanie „estetycznych" żab.

Od tych Stempowskich, od tych „znawców"
milszy nam sąd warszawskich krawców,
ślusarzy, zdunów, prostych bab.

I oni słowa nasze pochwycą,
nie recenzenci idiotyczni;
w Polsce pachnieć będzie pszenicą,
nie intelektem rabinicznym.

Wisło, jak lira dzwoń
mądra i rzewna;
na zasiew nasz pochyl swą dłoń,
Matko Boska Siewna.

A N T Y F O N A

Na tych, co biorą wody w usta,
na czytelników wuja Prousta,
na skamandrytów, na hipokrytów,

kalamburzystów rozmaitych
ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
Noc Długich Noży.

K. I. Gałczyński

(Przedruk z Nr 9 „Prosto z Mostu"

otwierały drogę dla ministrów kalwińskich i luterskich, tak „katolicyzm" wymieniający świadectwa ślubów, chrztów i zgonów na złotówki, sprowadza najnieuchronniej Callesów, Caballerów i Dzierżyńskich. I na to rady nie ma. I w tem jest boska sprawiedliwość, widoczna dla tych wszystkich, którzy w doktrynie katolickiej nie wiedzą filozofii pogańskiego „złotego środka" i afirmacji przeciętnego burżujstwa, dla których katolicyzm jest jedną z form bezwzględności i nieustannej walki.

Jeden z dynamicznie myślących umysłów w Polsce (O. Jan Urban) gdzieś i kiedyś napisał, że nie straszna jest masoneria, straszny jest duch masoński. Ów obiektywizm linoskoczków, chadzających na krawędziach złego i dobrego, ów zimny spokój, który wszystko wyrozumie i jak wymarzony sędzia według Lambrosa skazywać będzie kryminalistów na dłuższe lub krótsze pobyty w sanatoriach, lecz który nie wyrozumie żelaznej konsekwencji, wysiłku, ofiary, bohaterstwa i wiary. Obiektywizm ten zasłaniać będzie swym literacko-koturnowym katolicyzmem rozkładową pracę „Wiadomości Literackich", „uniwersalizm" Kominternu przekładać będzie nad regionalizmy faszystowskie. Czy nie ten katolicyzm hoduje Zegadłowiczów i czy nie Zegadłowicze stanowią jedną z cech tego katolicyzmu? Czy nie najlepszym określeniem statystycznego katolicyzmu polskiego będzie masono-katolicyzm?...

I jeszcze jedna uwaga. Statyczny katolicyzm w Polsce wydaje się być aktywnym i dynamicznym w chwilach, gdy styka się z niepierwszorzędnymi dla siebie walkami grup politycznych w Polsce. I tu traci dużo ze swego charakteru powszechnego i nadrzędnego. Niezdolny na wytworzenie katolickiego aktywu politycznego, czynnego we wszystkich grupach politycznych w Polsce, opiera się, raczej użyty został przez stare, zmaterializowane „Stronnictwo Narodowe", z rozbrajającą naiwnością oddając stronnictwu temu łamy olbrzymiej większości swej prasy a nawet pracę zakonników — vide Niepokalanów i „Mały Dziennik".

Te bolesne uwagi, nasuwające się nam w rocznicę Skargi, nie są atakiem na katalicyzm. Są apoteozą katolicyzmu dynamicznego, apoteozą odwróconą, najwłaściwszą w dzisiejszych czasach nieznoszących cukierkowych dytyrambów. Ten kto nie bije gwałtownie i z całej siły w wiek XIX w Polsce, ten nie pracuje nad zapanowaniem w. XX w życiu. Kto nie zaatakuje katolicyzmu przeszłowiecznego i sprawosławionego w Polsce, nie pracuje nad jego odrodzeniem.

Te myśli rzucone pod bezosobowym adresem polskiego katolicyzmu na pewno nie obrażą prawdziwych, patrzących naprzód katolików, oburzą do głębi faryzeuszów.

Podyktowane troską o aktywne i bojowe współdziałanie wszystkich elementów, składających się na treść Polski, broniących ją przed zalewem sił wrogich i obcych, uwagi te są wyrazem pełnej wiary w wielką rolę jaka leży przed boskim pierwiastkiem czynu, znamionującym jutrzejszy, odrodzony katolicyzm polski.

Razi nas tu nie jedno i nie na wszystkie tezy możemy się zgodzić, ale stwierdzić trzeba zasadniczo pozytywną i aktywnie katolicką postawę.

Czołowym współpracownikiem „Myśli Polskiej" jest Włodzimierz Bączkowski znakomity znawca kwestii Ukraińskiej współpracownik „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego". Wpływ p. Bączkowskiego na linię pisma jest widoczny. „Myśl Polska" pracuje na rzecz ugody polsko-ukraińskiej i stawia sobie za cel, by stosunek między obu narodami stał się stosunkiem czynnej współpracy dla obopólnego dobra. W tej sprawie także konsekwentne przeprowadzenie linii. Współpraca z narodem ukraińskim to znaczy front antyrosyjski.— „Myśl Polska" przyjmuje tę konsekwencję. Przez wszystkie artykuły polityce zagranicznej poświęcone przebija wyraźna teza historiozoficzna, że naszym odwiecznym wrogiem jest Rosja, bez względu na jej ustrój wewnętrzny. Osłabienie Rosji oto naczelny postulat polityki polskiej. Dlatego snuje się myśl o niepodległej Ukrainie.

Zacytujemy wyjątki z artykułu p. Bączkowskiego: „Sprawa ukraińska w świetle obrony państwa".

Obronny punkt widzenia na zagadnienie ukraińskie polega na realizacji planu maksymalnego uzdolnienia terenu zaludnienia ukraińskiego do przyjęcia linii wojskowo-strategicznej Polski. Głównym warunkiem przyjęcia tej linii przez teren zaludnienia ukraińskiego w Polsce jest zwrócenie racji ekspansywnej i obronnej ludności ukraińskiej w kierunku wschodnim. Stać się to może pod warunkiem zlikwidowania frontu tarć i walk politycznych polsko-ukraińskich. Tłumacząc to na język codzienny — należy stworzyć takie warunki polityczne w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich, przy których Ukraińcy uznaliby Polskę za swoje zaplecze, bez obawy wykorzystania tej sytuacji przez te czy inne elementy polityczne polskie i całą swą zdolność obronno-narodową wraz z aspiracjami przyszłościowymi skierowali w stronę granicy wschodniej. W tych warunkach Państwo nasze, posiadając w swej armii żołnierza ukraińskiego, bądź w inny sposób organizując zbrojnie teren w wypadku konfliktu militarnego osiągałoby swój cel — pełnego udziału regionu odmiennego narodowościowo w obronie jego granic.

Specjalna jednak sytuacja rozmieszczenia ludności ukraińskiej na mapie Europy Wschodniej, pozostawiająca po stronie sowieckiej około 80% narodu ukraińskiego, obok racji niepodległościowej tego narodu, liczącej się z teoretycznym faktem oparcia niezależności materialnej Ukrainy o gospodarczy trójkąt Taganrog-Donbas-Odessa — powodują, że równobieżnie z polską racją obronną ukraińskie plany antyrosyjskie mają treść wybitnie ofensywną a zarazem, przy przyjęciu za punkt wyjścia przeświadczenia Ukraińców o niezagrożeniu ich tyłów zachodnich ze strony polskiej, przyciągającą sympatie ukraińskie z za Zbrucza — dla Polski... Ten czynnik przyciągania sympatyj ludności Ukraińskiej Republiki Sowieckiej stanowi nowy, wtórny element obrony Polski, tym cenniejszy, że zdobywany kosztem potęgi państwa sąsiedniego. W tym atoli miejscu wkraczamy w dziedzinę kompleksu prometejskiego, którego powiązanie ze sprawą wewnętrznych stosunków polsko-ukraińskich wyraźnie się uzewnętrznia.

Powróćmy atoli do punktu wyjścia, do zagadnienia likwidacji „frontu" polsko-ukraińskiego, którego sprowadzenie do minimum jest czołowym warunkiem stworzenia równobieżnego frontu polsko-ukraińskiego, skierowanego obronnie przeciwko niebezpieczeństwu agresji ze wschodu. Ta likwidacja „frontu" nie będzie mogła odbyć się tanim kosztem półśrodków. Jedynie szeroko zakrojona normalizacja stosunków polsko-ukraińskich, zapoczątkowana przez politykę byłego premiera M. Kościałkowskiego stanowi doskonały punkt wyjściowy. Normalizacja, której głównym zadaniem jest wyzwolenie pokładów energii zaangażowanej we wzajemnym neutralizowaniu obustronnego natarcia polskiego i ukraińskiego, spowodować winna przeniesienie tej wyzwolonej energii z pogmatwanej granicy narodowościowej polsko-ukraińskiej na prostą, wyraźną granicę państwową na wschodzie.

Obserwując całe zagadnienie tym razem od dołu — widzimy, że poprzez normalizację stosunków polsko-ukraińskich w Polsce dochodzimy do stworzenia wspólnego polsko-ukraińskiego frontu obronnego nad Zbruczem, poprzez wspólny front do zdobycia sympatyj z tamtej strony granicy, poprzez te sympatie — do możności rozwinięcia planów defensywnych w ofensywne (w wypadku ataku Sowietów) i uzyskania w ten sposób głównego warunku już nie tylko obronienia się, ale i zwycięstwa.

Na zakończenie wyjątek z artykułu p. Wł. Bączkowskiego p. t. „Wiek XIX, Kiereńszczyzny i front ludowy".

Ślepi i głusi kiereńszczycy nasi deklamują o „zrównoważeniu", o „mocnych nerwach", o „obiektywiźmie", o całym spadku dekadencji XIX wieku z jego „postępem" i „konserwatyzmem". Cadykali i abystokbaci, jak osiemnastowieczni Szczęsni Potoccy i farmazoni prowadzą nas okrężną drogą poprzez bierność, zakonspirowany pacyfizm, oportunizm, reformizm w duchu zacofaństwa masońskiego i przedwojennego postępu, do podporządkowania ościennym, aktywnym potęgom współczesnego Fryca i nowożytnego Piotra I...

I na to zupełnie realne i namacalne niebezpieczeństwo jest jedna rada. Należy przezwyciężyć bezwład kiereńszczyzny, należy rozbić jego ludowo-frontowe jaczejki organizacyjne i podciąć jego źródła bytu. Należy sięgnąć tam, gdzie one sięgają i po męsku je wytrzebić. Należy zdekonspirować łotrów strojących się w drogocenny płaszcz twórczego aktywizmu piłsudczyków. Należy na drodze do tej pracy ujawnić masonerię i pseudotajemnice, o których wiedzą polityczy i wywiady wszystkich państw ościennych, a nic nie wie własne społeczeństwo.

Na drodze oczyszczenia pola dla zdobyczy i zwycięstw muszą w pierwszym rzędzie polecieć świadome i nieświadome ajentury obce, wszystkie fikcyjne prezesury fikcyjnych przedsiębiorstw, tajemnicze fortuny i fantastyczne redakcje pism przez nikogo nie czytanych. Ujawnione misterne mechanizmy polskiego teatru kukiełek i podrobionej rzeczywistości niechaj najeżą włosy zahukanej armii serc polskich i wyzwolą nasz naród, jako lawę spod „skorupy zwierzchu zimnej, twardej, suchej i plugawej". To pierwszy zasadniczy krok. Pierwszy i nieunikniony.

A potem lub jednocześnie? Należy z Polski uczynić państwo nowego typu, w pełnym, a nie połowicznym tego słowa znaczeniu. Polska nie może być tworem standartowym, wykutym na kowadle wielkiej ale francuskiej i internacjonalnych, bankrutujących na całej linii ideałów XX wieku. Polska musi być POLSKĄ na ten sam sposób, na jaki Italia jest faszystowską, Niemcy hitlerowskie, a Rosja — nacjonal-bolszewicką. Ta nowożytna idea Polski mieć się winna do idej sąsiedzkich, jak idee sąsiedzkie nawzajem do siebie, jak niemiecka do sowieckiej, jak italska do turecko-kemalistycznej.

Wówczas dopiero będziemy istotnie pełnoprawnym i nowoczesnym tworem państwowym, indywidualnym, zdolnym walczyć, zwyciężać, podbijać i być atrakcyjnym na wewnątrz i na zewnątrz. Odzyskamy rzeczywistą, budującą wiarę w siebie samych.

KORESPONDENCJA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Proszę o zamieszczenie w najbliższym n-rze Paxu następującego oświadczenia:

Cofam określenia i zwroty zamieszczone w n-rze 1 Paxu z 1936 r. w artykule „Po procesie wileńskim", którymi poczuli się dotknięci współpracownicy „Słowa": p. Redaktor Stanisław Mackiewicz oraz p. Jadwiga Poklewska-Koziełł, p. Andruszkiewicz i p. Kassyanowicz.

Wilno, dnia 19 lutego 1937 r.

Antoni Gołubiew

Do Redakcji dwutygodnika «Pax» w Wilnie

W moim głosie dyskusyjnym na temat, poruszony przez panią Z. A., przeprowadziłem rozróżnienie, znane zresztą skądinąd, między trzema rodzajami akcji dostępnymi dla katolików: akcją religijną (ściśle kościelną, oficjalną, organizowaną przez hierarchię) akcją katolicką (apostolstwo świeckich w łączności z hierarchią, przejawiające się w różnych dziedzinach kultury), akcją polityczną katolików (akcja przeprowadzona dla celów świeckich z myślą o budowie ustroju zgodnego z zasadami katolickimi). Choć nie rozwijałem tej myśli, uważając ją za znaną, kontekst świadczy, jak ją należy rozumieć.

Otóż w zdaniu, gdzie wprowadzam to rozróżnienie (nr. 2, str. 3, szpalta 2, wiersz 17—13 od dołu) korektor dodał nawias i cudzysłów, przez co zdanie stało się błędne. Proszę przeto o łaskawe sprostowanie. Zdanie, o które chodzi winno mieć wygląd następujący (dodaję tylko cyfry, aby nie było żadnych nieporozumień).

„To trzeba przeprowadzić zasadnicze rozróżnienie między 1) akcją religijną, 2) akcją katolicką i 3) akcją polityczną katolików".

Poza tem w szpalcie 3, w. 3—4 powinno być: „Misjonarze w Indiach wykładają teologię katolicką w terminologii wedy". Wydrukowano: „w ludziach").

Ponieważ zwłaszcza owo wymienione na pierwszem miejscu rozróżnienie jest ogromnie ważne, proszę koniecznie sprostować.

Z wyrazami prawdziwego poważania.

I. Siwecki.

TEN, KTÓREGO SZUKAMY

W ostatnich dniach r. 1936 ukazały się dwie książki pokrewne tematem, obce zasadniczo rodzajem literackim: Karola Adama — Jezus Chrystus (Poznań, nakł. Nacz. Inst. Akcji Katolickiej) i Franciszka Mauriaca — Dzieje Jezusa (Wydawn. „Roju" 1937 r.).

* * *

JEZUS CHRYSTUS ADAMA to wspaniała apologia Chrystusa. Książka fundamentalna i porywająca. Nie wiem dlaczego przypomniał mi się ks. Marian Morawski. Może dlatego, że u Adama znajdujemy tę samą erudycję, tę samą subtelność w odczuciu potrzeb umysłowości współczesnej, ten sam wdzięk ujęcia, dzięki któremu rozprawiamy się z najtrudniejszemi problematami apologetycznemi tak, jakbyśmy czytali piękne dzieło literackie. I tylko głębsze wczytanie się ukazuje śmiałość kompozycji i głębię myśli, które wprowadzają chwilami nawet i chrześcijanina w świat tak bliski, a dotąd nieznany — w świat najdziwniejszego człowieka, jakiego ludzkość wydała, co jak knot gorejący rozświetla odtąd wszystkie jej drogi. Lux in tenebris lucet. Ale ciemności są czasem straszliwe i rozpaczliwe. Dlatego dobrze, że przetłumaczono drugą książkę autora „Istoty katolicyzmu", książkę, która się wżera w rdzeń tego, co — nie paradoks to — obchodzi dziś przede wszystkiem i umysły.

Apologia bóstwa Jezusa!

Problem Chrystusa według Adama wygląda dziś z punktu widzenia naukowego tak, że albo musimy przyjąć całego Chrystusa z tem wszystkiem przeciw czemu wzdraga się nasz racjonalizm, albo odważyć się na bezwzględne odrzucenie wbrew wszelkim dowodom historycznym tezy, że Chrystus Ewangeliczny istniał naprawdę. Nad Rubikonem tym zatrzymała się zblazowana i przedwcześnie postarzała umysłowość współczesna, jałowo medytując nad pytaniem Dostojewskiego „czy podobna, by wysoko ucywilizowany, europejski człowiek mógł uwierzyć" — w takiego Chrystusa.

A jednak wszyscy czujemy, że problem bóstwa Chrystusa nie jest zwykłym problemem myślowym, ale problemem zbawienia, problemem, od którego zależy cały sens naszej egzystencji. „Prosta możliwość, że z Bogiem mamy do czynienia, że Bóg się mógł objawić w ludzkiej naturze, że ta możliwość działa na nas tak wstrząsająco, smagając niby biczem, wywołując w nas dreszcz trwogi i podziwu, że jeśli nie chcemy zgrzeszyć przeciwko fundamentalnym zainteresowaniom naszej własnej istoty, to nie wolno nam przejść nad nią do porządku dziennego, ani odsunąć jej na bok, pogardliwie wzruszywszy ramionami" (42 str.).

Książkę Adama zaczyna rozdział p. t. „Na szlakach wiary", w którym autor rozprawia się przede wszystkim z tymi, którzy do problemu Chrystusa podchodzą z uprzedzeniem, z tezą z góry powziętą, z uczciwością nie bezstronnego badacza, ale prokuratora, który się zbliża do podejrzanego podsądnego, słowem z tymi, dla których zagadnienie to jest również sprawą wiary, problemem zbawienia ale w sensie negatywnym. Rozdział to świetny dla poznania kulis myślowych bojowego ateizmu, a jednocześnie dał w nim autor subtelną analizę procesu poznania — prowadzącego do przedsionka wiary.

Wiara bowiem w tajemnicę Chrystusową nie jest pozbawiona realnych podstaw, opiera się na konkretnym historycznym stwierdzeniu wiary godności Jezusa i Jego czynów. Per Jesum ad Christum, czy raczej od człowieka Chrystusa aż do Chrystusa Boga.

Droga ciężka. Wszyscy się znajdujemy w orbicie poglądów i myśli opartych na czysto materialistycznych hipotezach, roztrwoniliśmy cały dorobek materialny, osłabł w nas organ do pojmowania rzeczywistości boskich, wszystko to wlecze się za nami i zaciemnia nasze widzenie — póki nas łaska wiary nie wyzwoli, łaska, dar Boży: Miłość sama.

„Per Jesum ad Christum — tędy biegnie szlak wiary, po którym nas prowadzi Karol Adam. Pokazuje najprzód Chrystusa takim jak Go widzieli Jego współcześni, przykłada skalpel krytyka, który staje wobec przedziwnej rozpiętości i skali życia i nie może zaprzeczyć zdrowia ciała i duszy. Męski hart, nie ugięta stałość, świadomość celu życia, niezrażone umiłowanie prawdy, charakter zdecydowanie bohaterski — a wszystko to na tle wielkiej dobroci i wielkiej słodyczy. Dwie sprzeczne tendencje, głębokie wrażliwości; cech, upodobań dziwnie ze sobą zestawionych, do czego klucz znajdujemy wtedy, gdy schodzimy w głąb życia wewnętrznego Jezusa, do ośrodka Jego woli życiowej skąd tryska owo święte źródło, z którego rozchodzą się dwa prądy: bohaterstwo, Jego odosobnione i wszechogarniające i przepełniona współczuciem i litością miłość Jezusa ku Ludziom" (144) źródło to — to całkowite bez zastrzeżeń poddanie się woli Ojca Niebieskiego. Poddanie się jakiego nigdy przedtem i potem w historii nie widzieliśmy.

I kiedy wpatrujemy się we wszystkie szczegóły życia Jezusa — opanowuje nas zdziwienie, pytamy któż jest ten człowiek. Pytamy o sprawę, na którą nikt nie może dać kategorycznej odpowiedzi prócz Niego samego — Jego świadectwa, wprowadzają już w wieczność. Rozcina ją jak błyskawica Prawda Zmartwychwstania, prawda, której blaski rzucają refleks na Krzyż, stojący na szczycie Golgoty, na tremendum misterium życia Jezusowego, na wszelkie dzieło Jego Odkupienia.

Taką jest droga od owego Rubikonu, nad którym zatrzymuje nas hamletowskie pytanie Dostojewskiego na szczyt, z którego życie inaczej, jakże inaczej wygląda. Droga ciężka kamienista, na której co krok spotykamy trudności, trzeba się rozprawić ze wszystkimi uprzedzeniami, zarażonemi duchem zarozumiałej autonomii i samochwalstwa, ze wszystkiemi zaślepieniami racjonalizmu i pseudonaukowemi teoriami, które przeżarły nasz mózg.

Świetna jest dialektyka Karola Adama, lecz nam przede wszystkim zostają w sercu jeno pozytywne pełne mocy wnioski. Stwarzają one epokę w naszym poglądzie na świat, stawiając we właściwy sposób najpierwsze zagadnienie chrześcijaństwa.

Pierwsze zagadnienie chrześcijaństwa. Raz po raz ktoś przed nim się zatrzymuje, ostatnio Mercikowskiego „Jezus Nieznany", a teraz znowu powieść Mauriaca „Dzieje Jezusa".

Powieść MAURIACA: **DZIEJE JEZUSA** wywoła napewno polemikę również i w Polsce, precyzuje bowiem ta praca stanowisko ideologiczne pisarza, o którego prawowierność kruszą się kopie. Zewnętrznie nosi ona cechy powieści biograficznej. Mauriacowi, jak o tem mówi w przedmowie, chodzi bowiem o zaznaczenie ludzkich konturów historycznego Jezusa, „o skreślenie psychologicznego portretu" tego człowieka, który przedtem nim został uznany za Boga, zjawił się w pewnej określonej epoce, związany był z ojczyzną, z klanem, obcował ze zwykłymi i nierozumiejącymi Jego misji ludźmi. Autor uważa bowiem, że Jezus raz sprowadzany przez historyków do miary zwykłego człowieka, innym razem „wynoszony wysoko ponad ziemię, na której żył i umarł, zatraca w oczach wiernego ludu i indyferentów wyrazistość konturu, nie zachowując ani jednego rysu realnego". (Przedmowa). Mauriac widzi zresztą w Chrystusie Boga, raz po raz wyraża obawy czy dość jest godny, aby utrwalić święte rysy w utworze literackim, czuje też, że „jemu jako prawowiernemu katolikowi grozi jak i innym katolickim pisarzom, że żarliwość wyznawcy wprawi w drżenie rękę artysty, które obraz człowieka unicestwi w pierwszych błyskach drugiej Osoby Bożej". Nie mniej w Jezusie natura człowieka interesuje go przede wszystkiem. Z odczuciem rzetelnego katolika stwierdza wagę jaką ma dla jego religijności fakt Wcielenia Chrystusa i nierozerwalne złączenie w Nim natury boskiej z ludzką. „Wyznam szczerze, że gdybym nie znał Chrystusa, Bóg byłby dla mnie słowem bez treści. Trzeba było, aby Bóg pogrążył się w człowieczeństwie, aby w pewnej określonej w dziejach chwili, w pewnym określonym na kuli ziemskiej punkcie istota ludzka z ciała i krwi wypowiedziała pewne słowa, uczyniła pewne gesty, abym padł na kolana. Gdyby Chrystus nie był powiedział „Ojcze nasz", sam z siebie nigdybym nie poczuł synowskich więzów z Bogiem, to wezwanie nie wypłynęłoby nigdy z mego serca na moje wargi". (Przedmowa). Przez Jezusa do Chrystusa oto normalna droga wiary według Mauriaca. Dlatego poza literackim założeniem, które ma na celu rozbudowanie psychologiczne sylwety Mistrza z Nazaretu przyświeca poecie inne apologetyczne: gdybyż choć jeden czytelnik dojrzał znaczenie słów strażników „Nigdy tak człowiek nie mówił jako ten człowiek" — autor znalazłby, jak sam o tem mówi, usprawiedliwienie dla swej książki

Pięknym wyrazem wiary i talentu są „Dzieje Jezusa" i słuszną wydaje się troska autora, czy świadomość ludzkiej natury Boga Człowieka, czyli sam fakt Wcielenia nie zatarł się zbytnio wśród wierzących.

To, że Syn Boży stał się Człowiekiem pełnym i całym, jest punktem ogniskowym nauki chrześcijańskiej. „Nie w tem tkwi cud przeogromny — mówi Karol Adam — rzecz trudna do uwierzenia, że oblicze Chrystusowe jaśniało blaskiem chwały Majestatu Bożego, ale w tem, iż Bóg stał się prawdziwym człowiekiem, że ten Bóg objawił się w ludzkiej postaci. W nauce chrześcijańskiej chodzi nietylko o wzniesienie się stworzenia do wyżyn Bóstwa, o przemienienie, przebóstwienie natury ludzkiej, lecz przede wszystkim o zniżenie się Bóstwa Słowa Bożego aż do czysto ludzkiego postaci niewolnika. Tu jest istota prastarego chrześcijańskiego nauczania: A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami (Jan 1, 14)". (Str. 10)

Póki trwa doczesność Kościół nie wysunie w Chrystusie Majestatu Jego Bóstwa na plan pierwszy. Przez to, że jest Bogiem ale i przez to, że jest Człowiekiem jest naszym Zbawicielem, Pośrednikiem, Głową Mistycznego Ciała Swego Kościoła. To uczestnictwo nasze realne w człowieczeństwie mistycznem Chrystusa, a przez nie dopiero w Jego Bóstwie ma przeogromne znaczenie, bronił go Kościół w walce z sektami monofizyckiemi i nigdy dość o tem przypominać, póki chcemy, aby płodnem było nasze chrześcijaństwo. Dlatego słuszna jest zasadnicza postawa Mauriaca.

Jakżeż jednak ta ludzka sylweta wypada w literackim ujęciu Mauriaca, który radby dobudować do tego, co nam mówią o Nazarejczyku święte księgi motywację psychologiczną, aby „pokazać, że ten dokument oddycha, jak powiada Claudel i że nie ma w dziejach świata równie uchwytnego tchnienia, jak to właśnie tchnienie"?

Znajdujemy w tej książce sceny niezwykle piękne, kultura artysty i żarliwość wyznawcy stopiły się w pełną wyrazu, głęboką, a subtelną wizję.

A jednak jest coś, co rodzi wątpliwości. Mówił ktoś niegdyś, że nie wyobraża sobie oczu Chrystusa z Wieczerzy Leonarda. Chyba żaden wielki malarz nie pokusiłby się otworzyć tych napewno niezwykłych, boskich oczu. Jest to jakaś granica, która wiąże ręce wielkiej sztuki. Granica ta jest jeszcze b. rygorystyczna dla literatury.

Dzieje Jezusa! Człowieka podobnego nam, który żył, cierpiał, pracował — jak wielu z nas... A jednak póki poecie wystarcza technika malarska, godzimy się z poetycką sylwetą Chrystusa, jak się godzimy, a nawet wzruszamy przed Chrystusem prymitów, Leonarda czy Rembrandta. Kiedy jednak poeta idzie głębiej, oświetla reflektorem duchowe życie Mistrza z Nazaretu, chce je tłumaczyć, a jeszcze bardziej gdy Go wprowadza w sytuacje fikcyjne, przypisuje Mu słowa, których nigdy nie wyrzekł, kiedy ożywia tę postać jakąś nową dynamiką, kiedy Jezus przestaje być takim jakim Go nam przekazała Ewangelia, wtedy coś się w nas zżyma.

Zżyma się wyznawca. To prawda, że Jezus był zwykłym człowiekiem. Nie mniej nie jest to człowiek zwykły w rozumieniu ogólnem, jest to człowiek rozsadzający ramy istoty ludzkiej, człowiek, który nie zna grzechu, człowiek nowy, wtóry Adam, jednostka już nawet z punktu widzenia właściwości ściśle ludzkich, o cechach indywidualnych, z nami nieporównywalnych. Człowiek zwykły — ale czy człowiek zwyczajny. A cóż dopiero mówić o Jego boskiej naturze, która się ściśle o ludzką zazębiała i promieniować musiała w słowie, w obejściu, która musiała prześwietlać całe życie Jezusa od Żłóbka do Golgoty. Te rzeczy można było widzieć — nie da się ich jednak

---

SYNKOWSKI

FRAGMENTY Z NOTATNIKA

KATOLICYZM ANGIELSKI

Anglię należy chrzcić co pewien okres czasu. Robili to św. Kolumba, św. Augustyn, usiłowali tego dokonać Irlandczycy, pragnący naprawić grzesznych mieszkańców Wielkiej Brytanii, a nawet matrymonialne kombinacje Henryka VIII, ozdobione reformizmem religijnym, popieranym i hodowanym sztucznie przez twórczynię nowoczesnej Anglii, królową Elżbietę. Następnemi etapami będzie Wesley i metodyści, wreszcie sto lat temu ruch oxfordski, kardynał Newman i regeneracja katolicyzmu. Św. Edward wyznawca mówił, iż w każdym kolejnym pokoleniu, trzeba odnowa umacniać wiarę.

* * *

G. M. Trevelyan jest obecnie najlepszym, a w każdym razie najbardziej błyskotliwym i interesującym historykiem angielskim. W jego „Anglii za Stuartów" można znaleźć zdanie mniej więcej tak brzmiące: „wówczas (mowa o epoce Karola II) liczba katolików nie była dokładnie znana, a cele ich istnienia niezrozumiałe dla otoczenia, jak są zresztą i dla nas".

Protestantyzm, a raczej oderwanie się od Rzymu, bo Anglikanie z t. zw. „Higla Clunch" upierają się przy tym, iż są „katolikami" w ewangelicznym znaczeniu, na Wyspach Brytyjskich rozpoczął się w sposób niezupełnie przynoszący chwałę jej fundatorom i ma dość nieciekawą hipotekę. Trudno mówić o krwawej inkwizycji chytrych mnichów, ale wszyscy wiedzą o wierzeniu Jezuitów „ars gratia artis", „dziurach księżowskich" i obtłukiwanych z posągów gotyckich kościołów.—Trudno też mówić o tolerancji religijnej tam, gdzie np. taki rycerz bez skazy późniejszych wojen domowych Sir Christopher Verey, będąc w Hiszpanii w orszaku ks. Walii, późniejszego Karola I, uderzył w twarz jakiegoś księdza, jedynie za propozycję nawrócenia się. Można się zgodzić, że czasy nie były czułostkowe, ale tego nie zrobiłby nawet Zagłoba z predykantami pana Firleja.

* * *

Na reformie kolosalnie wzbogaciła się przede wszystkim nowa, elżbietańska, arystokracja. Ani sama Elżbieta, ani jej doradcy np. Bacon czy Cecil nie wierzyli, ani w Boga ani w diabła.—Ale uczucia religijne ludności—których nawiasem mówiąc oszukano, wprowadzając podstępem msze bez konsekracji, wprawdzie przesadne, ale głęboko zakorzenione, wyzyskano dla celów polityki przede wszystkim zagranicznej. Najgorszym wrogiem W. Brytanii była Hiszpania, państwo arcykatolickie. Piratom Drake'a trzeba było wszczepić nie tylko chęć walki z nieprzyjacielem, ale nienawiść jego. Czemże można bardziej zachęcić do boju w czasach silnego potencjału religijnego w społeczeństwach, jak perspektywą tępienia „papieżników" i bałwochwalców przez prawdziwie ewangelicznych chrześcijan?

* * *

Przeszedł wiek XVII. Anglia Stuartów często łączyła się z katolicką Francją czy Portugalią, a walczyła z protestancką Holandią. Ale antykatolickie nastroje nie tylko nie zmniejszyły się, ale wzrosły. Upadek Jakóba II-go i zagarnięcie tronu przez uzurpatora Wilhelma Orańskiego, tu mają swoje główne uzasadnienie. Katolicyzm stał się proskrybowanym wyznaniem, a narodowa Church of England, tak dokładnie zmieniła się w instytucję świecką, że pod koniec następnego stulecia mistyczny protestant John Wesley, założyciel metodystów mówił o nowym chrzcie Anglii. Pierwszą próbę chrztu z tej strony, kwakrów Fox'a, rząd jak wiadomo wygnał i wytępił.

* * *

Dziś katolicyzm w Anglii i Szkocji liczy z górą 3.500.000 wyznawców. Stolica Apostolska restytuuje dawno zapomniane diecezje i pozornie sprawa posuwa się naprzód. Są to wrażenia powierzchowne. Ruch zapoczątkowany przez Newmana, chwilowo przynajmniej utracił siłę zdobywczą nowej idei. Oczywiście nie świadczy to bynajmniej o wartości katolików angielskich, która jest bardzo wysoka, ale o atrakcyjności idei dla bardzo szerokich mas, pozbawionych najczęściej wszelkich zartykułowanych uczuć religijnych i dość nielubiących oficjalnej instytucji Kościoła Anglikańskiego. Katolicy w Anglii stoją na bardzo wysokim poziomie. W kościołach widzi się ogromny odsetek przystępujących z podziwu godną pobożnością do Sakramentów. Ofiarność na cele kościelne przekracza wogóle kontynentalne pojęcia np. na tacy w noc wigilijną w katedrze westminsterskiej, piszący niniejsze słowa widział całą górę poprostu zielonych, jednofuntowych, i czerwonych dziesięcio-szylingowych papierków. Strona intelektualna przedstawia się również bardzo wysoko. Ostatnio np. w Oxfordzie Jezuici założyli swoje kolegium, Campion Hall, tak nazwany na pamiątkę ostatniego ich męczennika w Anglii. Wychodzi poza tym cały szereg wysoko postawionych pism jak „Dublin Revew", dominikański „Bladsfriars" i t. d. Działają również zakony jak np. słynne opactwo Benedyktynów w Dnanside.

Katolicyzm, szczególnie w południowej Anglii ma jednak charakter wybitnie „inteligencki", a nawet arystokratyczny. Rodzin katolickich nie jest znów tak dużo, a ich dzieci otrzymują przeważnie wykształcenie średnie w bardzo dobrych i znanych „public schools". Downside, Ampleforth i t. d. (jest ich około tuzina). Jest rzeczą wiadomą, że wyższe sfery w Anglii, dzięki specyficznemu wychowaniu, tych właśnie szkół, mówią właściwie innym językiem aniżeli ogół ludności. Arystokratyzm poznaje się po akcencie i krawacie związku, byłych wychowanków publicznej szkoły. Ta cecha angielskiego katolicyzmu zapewnia mu wprawdzie liczne datki na cele religijne i wielu konwertytów z najlepszych i najbardziej wykształconych sfer, teraz np. dużo się mówi o rychłej konwersji Aldousa Huxleya, ale utrudnia księdzu o szerokich oxfordzkich końcówkach zdobycie zaufania szczerbatych koknejów.

* * *

Ludowa piosenka angielska mówi, że „w moim sercu mieszkają razem dobry i zły człowiek". Dualizm w kwestjach religijnych w Anglii jest bardzo widoczny. Pomijając oficjalny Kościół, gdzie dobrze dałoby się zastosować wypowiedziane ongi przez Ludwika XVI słowa, iż pragnąłby aby przynajmniej arcybiskup Paryża wierzył w Boga — w sprawach religijnych ludność można podzielić na dwie kategorie: 1-o — olbrzymia większość najzupełniej obojętna do tych zagadnień, ludzie którym, jak mówi Pristley, życie nowoczesne odebrało Boga, ale nie wypłoszyło demonów i 2-o — mniejszość gorąco wierząca — podzielona na dwa wojujące odłamy.

Wierzący protestanci, którym przynajmniej tak się wydaje, nie znoszą katolicyzmu. Oni właśnie, Trelebvyan należy do starej znanej aglikańskiej rodziny, „nie mogą zrozumieć" istnienia katolicyzmu. Sztandarowy chrześcijanin protestancki, dziekan Juge, zresztą neoplatończyk z przekonań, dochodzi po prostu do monomanii. Czy pisze o królikach, czy rzeźbach asyryjskich, musi przypiąć łatkę Kościołowi. Sir Thomas Inskip, obecny minister koordynacji obrony, jest żarliwym wrogiem właśnie Papieża, czemu nieraz dawał wyraz w parlamencie. Gdy się pomieszka w Anglii, czasem się zdaje, że i w XX wieku wojny religijne czekają tylko pomyślnej koniunktury.

psychologicznie wytłumaczyć, któż bowiem ośmieli się określić granicę, dzielącą doznania ludzkie od Bogu tylko dostępnemu uczestnictwa w życiu Trójcy św. I rzeczywiście, nie udaje się to Mauriacowi, który podmalowuje raczej psychologię otoczenia Chrystusa, tak jak Leonardo da Vinci, który fragment z Wieczerzy, w którym Chrystus zapowiada zdradę, komponuje w ten sposób, że ożywia postacie Apostołów. Co myśli, czuje, przeżywa w tej dramatycznej chwili Chrystus — nie wiemy — zostaje na zawsze w refektarzu S. Maria della Grazia jako Wielki Nieznany.

Są jednak u Mauriaca również sytuacje, obrazy, które rażą. Każdy z nas na własną miarę pojmuje świat, każdy z nas inny obraz Chrystusa nosi w sercu. A jednak od wielkiego poety mamy prawo domagać się takiej wizji poetyckiej, któraby powszechnie nam wszystkim odczucie pewnej, tym razem świętej rzeczywistości pogłębiała i utrwalała. Jest to prawo, które napewno wypływa choć może brzmi inaczej z kanonów estetyki.

Żżyma się w nas bowiem nie tylko wyznawca, zżyma się w nas ktoś, kogo razi coś w samej artystycznej koncepcji. To nie tylko wyznawca zestawia karty książki Mauriaca z tekstem przedziwnej opowieści rybaków z Kafarnaum. Ewangelia to nie tylko Święta Księga, to dla mnie wspaniałe dzieło sztuki. Ta nieudolna skądinąd forma okazuje się coraz bardziej w miarę wieków nieprześcignioną, najplastyczniejszą, najżywszą, najbardziej wyrazu pełną powieścią biograficzną Jezusa z Nazaretu. Dorzucić do niej mogli już mistrze świata tylko swoją własną drogę do Niego, ze Nim i z Nim — swoje własne przeżycia i odczucia, które są zresztą również Jego zwycięstwem lub Golgotą.

Myślałam nieraz, że piękno Ewangelii można porównać z tą siłą sugestii jaką wywierają na nas prymitywy. Nieudolna forma to prawda. A jednak przez tę świętą nieudolność — mówi Maritain — objawia się subtelne wyczucie sztuki (l'Art et Scolastique. La pureté de l'art). Czytając „Dzieje Jezusa" przeżywamy coś analogicznego z tym, o czem opowiada Maritain, kiedy w muzeum przechodzimy z sali prymitywów do tej, gdzie triumfuje malarstwo olejne: „przyśpieszamy kroku, lecz dusza nasza zasępia się. Wędrowała przecież wśród wiecznych pagórków, a teraz oto znalazła się na deskach teatru, skądinąd zresztą wspaniałego" . . . (I. c.).

To już nie poety wina — raczej rodzaj jego sztuki. A zresztą „czyż myślicie, że Bóg, którego Dyonizy Areopagita nazywa Zelotą, „gdyż ma miłość żarliwą wszystkiego, co jest", może gardzić artystą i kruchym pięknem, które stwarzają jego ręce"? (Maritain I. c.).

Książka Mauriaca, to jeszcze jeden dowód, że Chrystus staje na wszystkich drogach ludzkości, że zbiegają się doń wielcy i mali społecznicy, uczeni i artyści przeświadczeni, że „niebo i ziemia przeminą, ale słowa Jego nie przeminą".

Halina Wężyk-Widawska

RÓŻE CZERWIEŃSZE OD KRWI

Piramidy egipskie mają swoje repliki w Meksyku, a jeszcze dalej na północ kontynentu amerykańskiego, poza Rio Grande niecałe sto lat temu istniało społeczeństwo, przypominające wprawdzie w założeniu idealną republikę Platona, ale o ileż bliższe Wschodnim Kresom Polski w swoim rzeczywistym kształcie — szarej, sennej a jakże pięknej Białorusi, błotnistym tajemnicom Polesia, urodzajnym polom Wołynia, podlaskim jarom i Ukrainie stepowej, odwiecznemu traktowi najazdów i rzezi. Były to Stany Południowe Unii Północno-Amerykańskiej, o nazwach dźwięcznych, pachnących urokiem łatwego, barwnego życia kolonialnego; Virginia, Carolina, Alabama, Florida, Arcansas, Missisipi, Tenessee, Luisiana, Georgia i wreszcie świeżo zdobyte na Meksyku dzikie, spalone słońcem i porosłe kaktusami pustkowia Texasu.

* * *

Wielkie i wzniosłe idee prawno-polityczne w praktyce życiowej okazują wiele skaz i szybko degenerują się, a zasady w gruncie rzeczy złe i przewrotne w działaniu łagodnieją, tracą bezwzględność i nagół rozwijają się ku lepszemu. Egalitaryzm rewolucyjny zrodził III-cią republikę we Francji, tę od afer i komitetów partii radykalnej, a ustawowe niewolnictwo pewnej warstwy ludzi stwarzało im znośne nagół i coraz polepszające się warunki życiowe — tak też działo się i w Stanach Południowych.

Dziś jako organizmy społeczne, ustrojowe i kulturalne nie istnieją one. Mechaniczna demokracja z Północy, rewolucyjna i wywrotowa w swojej istocie, zmiotła je bez reszty i śladu z powierzchni ziemi. W Nowym Orleanie, w Baton Rouge czy w Vicksburgu wyświetlają te same filmy co w Chicago, noszą te same kapelusze co w San Francisco i żują gumę rodem z Maine czy Wisconsin. Ale duch ogromnej cywilizacji arystokratycznego Południa mimo wszystkiego okazał się żywotny. Mimo czteroletniej wojny secesyjnej, utraty instytucji politycznych, wyginięcia przodującej warstwy i bezlitosnego spauperyzowania niedobitków, idea harmonijnego społeczeństwa, idea spokoju i godności w jego instytucjach zaczęła ożywać. Być może pod wpływem bankructwa, bezlitośnie kapitalistycznego wyzysku dotąd panującego w Stanach Zjednoczonych, gdzie ciągle jeszcze unosi się złowieszczy cień Aleksandra Hamiltona, twórcy tego systemu. Jak dotąd, renesans ten da się zaobserwować przedewszystkim w literaturze.

* * *

W styczniu 1935 wydawnicza firma Cassell, obejmująca całe Imperium Brytyjskie puściła w świat powieść Stark Younga „So red the rose" (Róże aż tak czerwone) kronikę zagłady tej cywilizacji Południa, o której inny amerykański pisarz, Herbert Agar powiedział, że dla niespełnionych utopji Lincolna — tu zresztą czynnikiem decydującym był niepoczytalny, morderca jego — zbrodnią było niszczyć rzecz tak piękną, jak Południe. Książka Yunga osiągnęła w ojczyźnie i w Anglii kolosalne powodzenie. Czytelnika polskiego uderza w niej przedewszystkim jedno: niesłychane analogie z „Pożogą" Kossak-Szczuckiej. Jak się okazuje, nietylko Antoniny były zrabowane przez rewolucyjne tłumy . . . Historia powtarza się.

* * *

Powieść Younga jest historią dwóch rodzin plantatorskich, Bedfordów i Mc Geehee, ale właściwym bohaterem jest społeczeństwo Stanów Południowych, ich prodująca warstwa w ostatnich blaskach ginącego słońca i w ogniach wojny domowej, niosącej zagładę.

Akcja główna jest bardzo prosta. Valette, wychowanica rodziny Malkolma Bedford'a, czeka na powrót z wojny Duncana Bedforda, który szczęśliwie wraca i ślub dochodzi do skutku.

Założenie to, jak już zostało powiedziane, jest tylko pretekstem do rozwinięcia całego szeregu wątków ubocznych. Właściwym bohaterem są Stany Południowe. Podobne warunki stwarzają podobne charaktery. Dorzecze Missisipi roiło się w pięćdziesiątych latach ub., niby żywcem przeniesionych z Homelszczyzny, młodych i awanturniczych ziemiańskich synków, którzy w potrzebie pierwsi poszli i pierwsi zginęli, filigranowych pań domu w zawierusze anarchii opanowujących szaleńcze bandy z pistoletem w dłoni, panny ze dworów o nieprzeciętnych charakterach.

Poniżej jest szeroka warstwa murzyńskich niewolników, pionków w grze politycznej, infantylnych okrutników i niewdzięczników. Kardynalny błąd ustroju niszczy zarówno podolskie dwory jak i plantacje z Luizjany: patriarchalny stosunek nigdy nie zastąpi wolności tym, wobec których jest stosowany w najlepszych nawet intencjach.

Na szczytach plantatorskiego społeczeństwa panują wytworni i subtelni filozofowie, Jefferson Davies, Król Stań Konfederacji Południowej. Ci wszyscy wielcy panowie, którzy widzieli wady w założeniu swojego społeczeństwa, ale kochali je, złą teorię przerabiali na dobrą praktykę i ginęli w imię swoich zasad.

Przeciwko nim szły proletariackie tłumy wielkich miast atlantyckich i środkowo-zachodnich stanów. Na ich czele Abraham Lincoln. W głowie tej dziwnej postaci były jakieś dalekie plany i całkiem genialne zamysły: pragnął stopić dobre cechy obu stron, pragnął nowe masy Chicago i Nowego Jorku przywiązać do ziemi. Dokładnie o tym nic można nic powiedzieć, są to wnioski z jego oderwanych słów. Kula niedopieczonego aktoryny położyła kres mediacji i harmonijnemu leczeniu ran, które się jeszcze nawet nie zasnęły. Południowe Stany zostały zniszczone. Na ich miejsce panoszy się Industrialna Organizacja i tylko w ukrytych miejscach pluną róże czerwieńsze od krwi poległych bohaterów.

Artystycznie powieść Stark Younga stoi bardzo wysoko. Prawda psychologiczna, ogromna plastyka i sugestywność opisu, wreszcie sentyment i przywiązanie do tematu, do głównych osób dramatu, czynią z niej jedną z ciekawszych powieści angielskich ostatnich lat. Na polski język tłumaczy się tyle, tyle tamiz, czy nie możnaby było przetłumaczyć Stark Younga! **Maria Ilińska**

O ESTETYKĘ W KOŚCIELE

Zamieszczamy głos czytelniczki, mając nadzieję, że ważna ta sprawa wywoła dalsze echa. Red.

Cokolwiek możnaby dobrego powiedzieć o XIX wieku (ściśle — o jego 2-ej połowie), nie ulega wątpliwości, że pod względem artystycznym była to epoka, stojąca na fatalnie niskim poziomie. Odbiło się to na wszystkiem i w wielu dziedzinach długo jeszcze będziemy walczyli z dziedzictwem złego smaku, któreśmy po niej otrzymali. Rzecz skądinąd naturalne, że w instytucji tak bardzo (i często słusznie) konserwatywnej, jak kościół, te takie ujemne pozostałości dadzą się dziś szczególnie trudno wykorzenić. Nie mam zresztą zamiaru pisać tu traktatu w skomplikowanej sprawie nowoczesnego stylu w kościele i sztuce kościelnej. Od tego są specjaliści. Chcę natomiast rzucić tu parę uwag, które się i laikowi, mającemu choćiaż minimalne pojęcie o estetyce, codziennie muszą nasuwać.

Mianowicie chodzi o to, że w naszych kościołach panoszy się już specjalnie dużo zupełnie niepotrzebnej brzydoty, co ma w dodatku ten poważny pedagogiczny minus, że sprzyja utrzymaniu w masach, którym nigdy nie przyjdzie na myśl, żeby coś, co widzą w kościele jako ozdobę, mogło nie być piękne — estetycznego analfabetyzmu. A tu dzieją się codzień harrenda! Weźmy taką rzecz jak pogrzeb, do którego wystawności i „piękności" przywiązuje nasz lud specjalną wagę. Jeśli tylko kościół jest bogatszy, pogrzeb staje się powodem wystawienia jakichś okropnych kolorowych albo czarnych obelisków malowanych w ces-flowery i różne emblematy, obczepianych świerami na całej wysokości i uwieńczonych ornami i bukietami, płaczących tekturowych aniołów i dziewic, które robią wrażenie, że pouciekały z ekranów fotografów, robiących latem zdjęcia koło Cielętnika „na tle" skał i kolumnach. A balustrady, a baldachimy usiane trupiemi główkami, a obfitość wieńców blaszanych (kiedyż ta ohyda wyjdzie z mody!) i papierowych — istna orgia brzydoty! Pewnie, że nastrój żałobny uwydatnić w akcesorjach nie jest łatwo, ale to, co widzimy, jest jakby obliczone na efekt odwrotny: śmieszność.

A „groby", a „Żłobki"! A nabożeństwa majowe! Pomijam już sprawę artystycznej wartości figur i obrazów — wiadomo, że w całej bodaj Polsce dewocjonaliów, stojących pod tym względem na jakim takim poziomie, prawie niepodobna w handlu dostać. Ale znowuż akcesorja... Te atłasowe materacyki błękitne, woalki białe, girlandy z paciorków i szkiełek, lilje z papieru związane z świec, wianuszki gwiazdor, bukiety i bukieciki ..., już to u nas wogóle, niestety, nawet wśród inteligencji panuje przekonanie, że kwiaty (i to dobrze, jeśli prawdziwe, nie sztuczne) i światła stanowią z a w s z e ozdobę, niezależnie od ilości i rozmieszczenia. Przecież popatrzeć, co się dzieje na każdym bardziej „popularnym" wśród wiernych ołtarzu! Napchano, zwłaszcza w sezonie, tyle wazonów, doniczek, garnuszków i butelek z kwiatami na każdym gzymsie, stopniu, postumencie i wpjost na samej mensie, że niejednokrotnie niewiele zostaje miejsca na odprawianie mszy, nie mówiąc już o tem, że jeśli ołtarz posiada jakąś wartość architektoniczną, to jest ona całkowicie w tem zagubiona — ale wszyscy mają poczucie, że „tonie on w powodzi kwiecia i zieleni", co więc pięknie i pobożnie. Trzebaby jednak choć trochę zacząć wychowywać publiczność pod tym względem i uczyć ją, że n i e w s z y s t k o i n i e w s z ę d z i e można postawić, że i takich rzeczy jak kwiaty i świece (a cóż dopiero lampki elektryczne!) może być — i to bardzo łatwo — n a d u ż o. To niejeden może, kierując się sentymentem, powie, że trudno przecie odrzucić dar pobożnej babulki, która przyniosła „mirtę" albo bukiecik bzu na ołtarz, ale zdaje mi się, że przy odrobinie dobrej woli i rozsądku ze strony kierownictwa kościoła dałyby się i takie trudności z sensem załatwić. Już to wogóle sentymentu, ze szkodą często kultury i umiaru, u nas wszędzie aż nadto.

Dobrze byłoby, gdyby księża proboszczowie zechcieli wejrzeć w te sprawy choć trochę. Kosztów to nie wymaga — chodziłoby przede wszystkiem o pousuwanie zbyt już rażących estetycznie dekoracji, nawet gdyby się ich niczem naraźie nie miało zastąpić — i o rozwagę przy ich sprawianiu np. do nowych kościołów. Naprawdę szkoda pięknych wnętrz świątyń wileńskich na tę tandetę i zaniedbanie artystyczne, których tam dziś pełno.

Zab.

SPROSTOWANIE

W numerze poprzednim, w artykule „O rehabilitację mesjanizmu" wydrukowano omyłkowo: Stanisław Krzyżanowski zamiast Szczepanowski.

POD LUPĄ

NIE ZAUWAŻYLI SŁONIA

Prasa „folksfrontu" często pisze o ciężkim losie Polaków w Niemczech. Organ Z. N. P. „Dziennik Poranny" pisze o tym codzień i bije na alarm. — Jest w tym bardzo dużo racji. Rzeczywiście, że los Polaków w III Rzeszy jest opłakany i że tą sprawą należy się zająć.

Ale... Za granicą wschodnią mieszka 1.500.000 naszych rodaków i sytuacji ich nie da się nawet porównać z losem Polaków w Niemczech. Życie tych półtora miliona Polaków w Bolszewji jest dożywotnią katorgą — o pielęgnowaniu przez nich kultury polskiej nie ma nawet mowy.

Na ten temat „humanitarna" nasza prasa ani mru ... mru ...

Przypomina się bajka Kryłowa o wieśniaku, który widział w Zoo zwierzątka i owady, ale nie dostrzegł ... słonia. W danym wypadku im nie wolno dostrzec sprawy najpilniejszej. Muszą być ślepi. T a k ą m a j ą i n s t r u k c j ę. (Sen.)

SPOŁECZEŃSTWO BEZ POCZUCIA HUMORU

Ciesząca się powszechną popularnością, słuchana i kochana w całej Polsce „Wesoła Fala Lwowska" została skasowana. Nie usłyszymy więcej Szczepcia i Tońcia, ani Abrikozenkranca, ani Strońcia.

Podano jakieś tam powody, ale wszyscy wiedzą, że to tylko robienie pozorów. Przyczyny rzeczywiste są jasne. „Wesoła Fala" była też czasami głosem niezależnej satyry politycznej. Zażartowano z niektórych dygnitarzy. — I oto rezultat.

Boy pisał w swoich „Słówkach"

...O bo byśmy tu w Krakowie

Naród bez poczucia humoru — to źle. Humor, to konieczny warunek hygieny narodowej. (ja)

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wiktor Alter, *ANTYSEMITYZM GOSPODARCZY W ŚWIETLE CYFR*. Warszawa 1937.

Georges Bernanos, *PAMIĘTNIK WIEJSKIEGO PROBOSZCZA*. Warszawa 1937, „Rój".

K. Pruszyński, *PODRÓŻ PO POLSCE*. Warszawa 1937, „Rój".

Tadeusz Kudliński, *RUMIEŃCE WOLNOŚCI*, Warszawa 1937, „Rój".

WYDAWCA: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ PAX'u. ADMINISTRATOR I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: MARIAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40, półrocznie 3.90 zł.; kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 16-ej do 17-ej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 16-ej do 17-ej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49.